tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 26 (1125) ROK XXII 1 LIPCA 1979 R. CENA 3 zł

W NUMERZE

NIE TYLKO O ZIĘBIE

Robią swoje montażyści erefenowscy, robią dwaj Włosi, robi trzech Anglików, z którymi ma jeszcze z Sanoka swoje porachunki mgr inż. Andrzej Kowalski, przybyły do Bełchatowa wraz z żoną. Naciskał ich, gdy pracował z firmą Howe Richardson z Nottingham właśnie w Sanoku. Teraz oni tu łowią co się tylko da, by naszych przyłapać.

(JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI)

SPOTKANIE Z ALIM I BIBI CHANYM

— Więc jak było naprawdę, księżniczko? Istniejesz w legendzie, czy żyłaś naprawdę?

— Istniałam naprawdę... w legendzie — naburmusza się piękność.

(JAN B. FABISIAK)

PIKNIK NAD GRABIĄ

— Ciszej, kobiety — strofował jeden z mężczyzn. — Po co ten cyrk? Stało się i nic się nie odwróci.

— Jesteśmy ludźmi kulturalnymi...

— Kulturalny człowiek nie uwodzi cudzego dziecka.

— Sama chciała. Sama!

— Prokurator wyjaśni, sama czy nie ama.

(EUGENIUSZ IWANICKI)

PONADTO:

- Załącznik
- „Zielone linie" pod czerwonym światłem
- Dialog biednych i bogatych
- Muzyka
- Recenzje
- Felietony

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- Debiutantów kłopoty i nadzieje
- Bajońskie bony
- Co zdarzyło się 30 czerwca 1908 r.
- Nazywali go „Szczupak"

Foto: R. Łucyszyn

ANTONI RYDLEWSKI

LUBIĘ SOBIE POWSPOMINAĆ

Widywałem go dość często, zawsze przy tej starej estradzie dla orkiestry, tam gdzie zbierali się amatorzy warcabów i kart. Zawsze pogodny i pełen werwy. Z ożywieniem wdawał się w spory i dyskusje. Był lubiany.

Zeszłego późnego lata podszedł do mnie i powiedział:

— Widzę cię tu już od pół roku, po małym musimy zrobić. Kruczyński jestem.

Wyjął z kieszeni małą piersiówkę.

— Widzewskiemu emerytowi nie odmówisz?

Nie odmówiłem. Tak zaczęła się nasza znajomość.

15 października 1978 r., niedziela, godz. 18. Siedzimy na ławce w parku przy ul. Targowej.

— Tu, jak szkoła filmowa, dawny pałac Kona, w lewo, aż do Fabrycznej, aż tam, gdzie te grube kolumny, to była moja droga. Tu chodziłem trzydzieści lat, Rokicińską, Targową, koło ogrodu Scheiblera, aż do tkalni. Mieszkaliśmy z matką na Grymbachu. Tam, gdzie ten nowy wielki szpital budują.

Ojca nie pamiętam. W tysiąc dziewięćsetnym brał udział w zamachu bombowym na pałac Kunitzera. Bojowiec był. Ochrana ich wytropiła. Poszedł na Sybir. Tak słyszałem od matki.

Umarła, jak miałem piętnaście lat, na suchoty. Wtedy na suchoty w każdej rodzinie ktoś szedł w ziemię. Matka mi mówiła: — Stefcio, bądź twardy, nie daj się. Od polityki z daleka. Na Polskę trzeba czekać. Matka Boska nas nie opuści.

Do roboty poszedłem, jak miałem czternaście lat. Na tkalnię do Grohmanna. Znam dobrze te mury. Wiesz, co się tu działo.

Tu w prawo, jak Wodny Rynek, to pamiętam, stało pół sotni kozaków. Oni szykowali się do szarży, prosto Targową. Na rogu Fabrycznej było mrowie ludzi. Pamiętam to dobrze. Pamiętam też atak granatowej policji. Tam, od tyłu, jak Zyndrama domy. To już było za Polski. Od Głównej szli granatowi. Widzew był zawsze czerwony. Wtedy to był chyba rok trzydziesty trzeci. Tak, to był strajk powszechny. Szło o podniesienie stawek.

Dalszy ciąg na str. 4

EUGENIUSZ IWANICKI

PIKNIK NAD GRABIĄ

Jeszcze nie zdążyłem porządnie ustawić samochodu, a już przyplątał się podpity tubylec i nachalnie zażądał papierosa.

— *Nie palę* — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

— *A co mnie to obchodzi?* — zatoczył się na maskę samochodu i spłynął miękko po błotniku na ziemię.

— *Skoro nie palę, to znaczy, że nie mam. Rozumiesz?*

Zaczął się gramolić szorując twarzą po oponie, ale widać siły go opuściły, bo dał za wygraną i rozciągnął się jak długi na trawie.

— *Tu, „Pod Bykiem", nie odmawia się papierosa, bo to jest niegrzecznie, a za niegrzeczność można dostać między oczy.*

Wyminąłem pijaka i poszedłem w stronę rzeki.

Na długo przed wojną w dolinę rzeki Grabi, na odcinku pomiędzy Kolumną a Łaskiem, przyjeżdżali letnicy. Starzy ludzie po dziś dzień nazywają te tereny Palestyną, bo najwięcej przyjeżdżało tu Żydów z Łodzi i Pabianic. Sława miejscowości wypoczynkowej przetrwała do dziś, tylko, że teraz są tu ośrodki FWP i kolonie letnie dla dzieci. No i co niedziela mała dzielnica Łasku, Kolumna, przeżywa najazd turystów. Setki samochodów drąc opony na wyboistej drodze i ryzykując złamanie resorów na wykrotach i wybojach pobliskich łąk, zapełniają każdy wolny skrawek nad rzeką. Jak okiem sięgnąć stoją fiaty, syreny, maluchy, skody i wartburgi. Czasem trafi się wóz z zagraniczną rejestracją, lecz obcokrajowcy z reguły parkują przed pobliskim „Jambolem". Wśród drzew, na łąkach, często na zagonach żyta, stoją kolorowe namioty. A nad samą wodą i w jej płytkim nurcie roi się od plażowiczów. Sielanka. Wywczasy. Dolce far niente.

Skoro przyjechało się wypocząć, oderwać się od codzienności, można stać się tym, czym się nie jest przez sześć dni w tygodniu. Co bardziej przedsiębiorczy wycinają toporkami poszycie leśne zabawiając się w budowę szałasów (niewyżyta ciągota zabawy w Indian), inni uwijają się obok samochodów szorując karoserie pienistymi szamponami. Białe strugi ściekają ku rzece, wsiąkają w zieleń trawy, spływają na zagony żyta.

Obok mostu stoi rolnik i usiłuje przekonać właściciela wołgi, że nie po to zasiał tu żyto, by w nie wjeżdżać samochodem, a do tego biwakować.

— *Już panu powiedziałem* — denerwuje się właściciel wołgi — *że na przestrzeni dwudziestu metrów od wody wolno robić, co mi się podoba. Kto panu kazał siać blisko wody? Sam pan sobie winien.*

— *Moje grunta dochodzą do samej wody i jeszcze dalej, na tamten brzeg. Ja to mam zapisane w magistracie.*

— *Gówno mnie to obchodzi. Prawo mówi co innego, a ja znam prawo.*

— *Co mi po pańskim prawie, skoro mi pan żyto tratuje!*

— *Trzeba było myśleć jak się siało.*

— *Człowieku, przecież to chleb!*

— *Tylko nie człowieku, dobrze? Onuc razem nie fasowaliśmy, ani brudzia nie piliśmy. A w ogóle, to idź pan stąd, bo chcemy z córką pograć w kometkę.*

Gospodarz stoi bezradnie, coś tam sobie mamrocze po cichu, ale nie odchodzi.

— *No, idź pan!* — złości się właściciel wołgi. — *Gapi się, jakby nigdy nie widział kometki.*

Córka i żona zaczynają się śmiać, co ostatecznie peszy gospodarza. Cofa się do mostu i stamtąd obserwuje, jak w jego życie obcy ludzie ustawiają leżaki, stół, kuchenkę gazową, rozkładają materace.

Ziemia na obu brzegach rzeki Grabi przypomina miejscami śmietnik. Nie sądzę, by ustawienie koszy zmieniło cokolwiek na lepsze. Papierosy, skorupy z jaj, resztki jedzenia, butelki, plastykowe kubki, szmaty — wszystko to zostaje wciśnięte w ziemię lub po prostu rzucone. Co jakiś czas rozlega się krzyk dzieci — znowu któreś przebiło nogę odłamkiem szkła, lub nadepnęło na rzuconą niedbale pustą puszkę po sardynkach. Co prawda wyspecjalizowane grupy chłopców wędrują wzdłuż rzeki i zbierają do worków porzucone butelki, lecz nikt nie schyla się by pozbierać puszki, pudełka, zbędne opakowania. W tym, rosnącym z dnia na dzień, śmietniku, biwakują coraz to nowi amatorzy wody i słońca, rozbijają namioty wędrowne grupy turystów. I jakoś nikogo to nie razi, nikomu nie przeszkadza. Najwyżej ktoś nogą odrzuci przeszkadzającą puszkę, albo przyniesie świeżego piasku i zasypie walające się papierzyska, by można było spokojnie rozbić namiot.

Dla wygody turystów jadących trasą E-12 oraz dla tych, którzy przebywają tu w czasie dni wolnych od pracy wybudowano dwa obiekty zbiorowego żywienia, lokal I kat. wraz z hotelem „Jambol" należący do Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Łasku oraz drewniany bar „Leśny" tuż nad samą wodą, własność WSS w Łasku, a będący obecnie w ajencji. Ten bar przechodził różne koleje losu i jest nestorem wobec młodziutkiego „Jambolu" wzniesionego kosztem paru milionów złotych. Nazwa baru „Leśny" jest nazwą oficjalną, a o barze nadal się mówi jak się mówiło pięć czy dziesięć lat temu: „Pod Bykiem". Wzięło się to stąd, że w czasach, kiedy wzniesiono tu barak, przeznaczając go na jadłodajnię, wokoło były łąki i rzeka, a na tych łąkach pasł się potężny byk, postrach dzieci i pijaków. Od tamtego czasu nazwa „Pod Bykiem" przylgnęła do baru na stałe. Były czasy, kiedy można tu było dobrze zjeść i wypić, a pobliska woda mogła ochłodzić najbardziej rozpalone głowy. Potem nastały lata chude, nijakie, bar przechodził z rąk jednego ajenta do drugiego. Dziś jest tu czysto, menu dość urozmaicone, ceny nie za wysokie: kurczak pieczony — 37 zł porcja, kaczka pieczona — 40 zł, kotlet schabowy — 36 zł, stek wieprzowy — 35 zł, flaki — 17 zł, kilogram golonki — 60 zł, żeberka duszone — 18 zł, pieczeń rzymska — 18 zł (jadłospis z dnia 10.06.1979 r.).

(Dalszy ciąg na str. 2–3)

W całokształcie działalności Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego istotną rolę spełniają więzi kadry i słuchaczy Centrum ze społeczeństwem Łodzi. Zostały one zapoczątkowane w chwili przeniesienia Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych z Lublina do Łodzi 21 kwietnia 1945 roku.

Symbolicznym przykładem tych więzi było ufundowanie przez Zakłady im. J. Marchlewskiego sztandaru dla CSOPW. Inicjatorami fundacji byli robotnicy, m. in. Zofia Patorowa i Władysław Gruszczyński, a uroczystość wręczenia sztandaru odbyła się w październiku 1945 roku, z okazji promocji dokonanej przez marszałka Polski, Michała Rolę-Żymierskiego.

Robotniczo-żołnierskie więzi, zadzierzgnięte w pierwszych tygodniach stacjonowania szkoły w Łodzi, podtrzymują i wzbogacają nowymi treściami oraz formami działania — kadra i słuchacze Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych, które w roku bieżącym obchodzi swe 35-lecie. W ostatnich latach jest to szczególnie dostrzegalne na przykładzie współpracy z załogami łódzkich zakładów pracy. Więzi CSOP z klasą robotniczą koncentrują się głównie w zakładach kluczowych, skupiających najbardziej liczne załogi, które decydują o roli i charakterze Łodzi przemysłowej. Należą do nich Zakłady im. J. Marchlewskiego, Obrońców Pokoju, 1 Maja, F. Dzierżyńskiego, Wiosny Ludów, Zakłady Kinotechniczne „Prexer", „Anilana", „Teofilów", „Dywilan" „Elta" i inne. Najwięcej uwagi poświęca się działalności ideowo-propagandowej. Tylko w roku 1978 i pierwszym kwartale br. kadra i słuchacze Centrum przeprowadzili 490 akcji lektorskich o tematyce historycznej, militarnej, ekonomicznej, społeczno-politycznej i patriotyczno-obronnej, w których uczestniczyło około 20 tys. osób.

Ceną formą współpracy jest objęcie przez wykładowców Centrum patronatu nad szkoleniem ideowym aktywu robotniczego w Zakładach im. 1 Maja. W innych zakładach pracy, a szczególnie im. J. Marchlewskiego, „Dywilanie" i „Elcie" dużą aktywność w szkoleniu ideologicznym przejawiają podchorążowie Szkoły Oficerów Rezerwy.

Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych udostępnia też swoją bazę szkoleniową i środki techniczne aktywowi robotniczemu. Z drugiej strony dyrekcje zakładów pracy chętnie udostępniają zakłady zwiedzającym je oficerom, podchorążym i kadetom CSOP, spotykają się z nimi, wyjaśniają problemy budzące zainteresowanie słuchaczy. Ta forma współpracy zyskała szczególne uznanie wśród oficerów i podchorążych.

Serdeczne więzi łączące klasę robotniczą z Centrum znajdują także wyraz w podejmowanych i realizowanych czynach społecznych. Z okazji 35 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego kadra, słuchacze i pracownicy cywilni CSOP przepracowali na rzecz miasta i jego mieszkańców 1243 roboczogodziny, o wartości 263.819 zł. Prace wykonano m. in. na trasie W-Z, w Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu oraz osiedlu mieszkaniowym Retkinia. Na potrzeby lecznictwa Łodzi oddaliśmy honorowo 79 litrów krwi. Sprawując od wielu lat opiekę nad wychowankami Państwowych Domów Dziecka w Łodzi, kadra, słuchacze i pracownicy cywilni ufundowali pięć książeczek mieszkaniowych z ogólną sumą wpłat 50.721 zł. Ponadto podchorążowie Szkoły Oficerów Rezerwy i kadeci Szkoły Chorążych Politycznych prowadzą wśród wychowanków Państwowych Domów Dziecka działalność wychowawczą. Największą popularność zyskały organizowane przez nich „Niedziele Uśmiechu".

JAN POWAŁA

SERDECZNE WIĘZI

Również dla uczczenia 35 rocznicy powstania Polski Ludowej CSOP podjęło szereg zobowiązań na rzecz miasta. M. in. kadra, słuchacze i pracownicy cywilni CSOP zobowiązali się społecznie przepracować 9000 roboczogodzin, oddać honorowo 37 litrów krwi, wpłacić kwotę 20 tys. zł na książeczki mieszkaniowe dla wychowanków Państwowych Domów Dziecka w Łodzi, wygłosić cykl prelekcji o tematyce społeczno-ekonomicznej, polityczno-militarnej i patriotyczno-obronnej oraz opracować przewodnik po miejscach pamięci i męczeństwa narodu polskiego na terenie województwa miejskiego łódzkiego.

Przedmiotem oddziaływania ideowego kadry i słuchaczy CSOP jest także młodzież szkół średnich i wyższych. Podobnie jak wśród klasy robotniczej — szczególne znaczenie ma tu działalność lektorska.

CSOP sprawuje obecnie patronat nad dwunastoma szkołami średnimi. Szczególnie szeroką działalność wśród młodzieży prowadzą podchorążowie Szkoły Oficerów Rezerwy. Mając bogate doświadczenie w pracy młodzieżowej, zdobyte w czasie studiów, a następnie pogłębione podczas pobytu w CSOP, pomagają oni organizacjom młodzieżowym w prowadzeniu działalności wychowawczej. Podchorążowie SOR nawiązali również współpracę z Komendą Chorągwi Łódzkiej im. Bohaterskich Dzieci Polskich i zorganizowali Wojskowy Krąg Instruktorski, który rozwinął działalność popularyzującą wiedzę patriotyczno-obronną wśród młodzieży harcerskiej.

Szerokie są też kontakty CSOP z łódzkimi uczelniami, zwłaszcza z Uniwersytetem Łódzkim i Instytutem Nauk Politycznych. Z reguły są to formy kontaktów dwustronnych. Najczęściej w procesie dydaktycznym w CSOP uczestniczą: prof. dr hab. Władysław Bortnowski, prof. dr hab. Zdzisław Grzelak, doc. dr hab. Marian Wilk, doc. dr Andrzej Gurbiel, dr Paweł Chmielewski i inni. Współpraca naukowa z Uniwersytetem Łódzkim spotyka się z dużym zainteresowaniem i poparciem ze strony rektora — prof. dr hab. Romualda Skowrońskiego.

W całokształcie działalności umacniającej więzi CSOP z ludnością cywilną istotną rolę odgrywają weterani ruchu robotniczego i kombatanci wojny narodowowyzwoleńczej. Często odwiedzają Centrum, uczestniczą w procesie wychowawczym, przekazując swoje wspomnienia z okresu walki z okupantem oraz organizacji i umacniania władzy ludowej.

Przedstawiłem tu tylko niektóre, najważniejsze przykłady współpracy CSOP z ludnością cywilną Łodzi. Można by przytoczyć jeszcze wiele innych, bardziej szczegółowych danych na ten temat. Myślę jednak, że nie chodzi o liczby, ale o jakość i treści form przyczyniających się do pogłębiania i umacniania więzi wojska z ludnością cywilną. W tym zakresie działalność Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. L. Waryńskiego stanowi przykład rozwiązań wzorcowych.

Płk dr Jan Powała jest zastępcą komendanta Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi.

MUZEUM WYSPIAŃSKIEGO

Ulica Kanoniczna już w niedalekiej przyszłości stanie się jedną z najpiękniejszych ulic Krakowa. Odrestaurowana i zagospodarowana stanowić będzie dowód trwałej obecności w mieście pod Wawelem wielu znakomitych przedstawicieli świata kultury i sztuki. Wśród nich na jednym z poczesnych miejsc znajduje się Stanisław Wyspiański, twórca na wskroś krakowski i z Krakowem związany nie tylko swoim życiem prywatnym, ale i artystycznymi poczynaniami. Na ogół nie znany jest fakt, że Wyspiański był jednym z założycieli Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, które stawiało sobie za cel badanie dziejów miasta i ochronę jego pamiątek. Na ulicy Kanonicznej powstanie muzeum Stanisława Wyspiańskiego. Otwarcie przewidywane jest na rok 1981, a więc w dwusetną rocznicę powstania sceny narodowej w Krakowie, z którą tak mocno związany był twórca „Nocy Listopadowej". Wybór posesji przy ul. Kanonicznej 9 na muzeum Wyspiańskiego nie jest więc przypadkowy. „U stóp Waweiu miał ojciec pracownię..." — pisał wspominając dom rodzinny i pracownię ojca — rzeźbiarza Franciszka Wyspiańskiego, mieszczącą się właśnie na Kanonicznej. Projektantem i wykonawcą remontu obiektu są Krakowskie Pracownie Konserwacji Zabytków. Badania, projekt i wykonawstwo prowadzone będą przez jedno przedsiębiorstwo co powinno przyspieszyć remont kamienicy. Już w końcu lipca planuje się zakończenie prac badawczych i projektowych. Pracownicy PKZ odkryli tu XIX-wieczną polichromię i zabytkowe drewniane belkowania stropów budynku. Prace trwają i być może przyniosł kolejne odkrycia.

Koszt remontu określono na 12 mln złotych. Po zakończeniu prac rewaloryzacyjnych gospodarzem obiektu będzie Muzeum Narodowe. W przyszłym muzeum znajdzie się wiele nie eksponowanych dotychczas dzieł malarskich Stanisława Wyspiańskiego. Ponadto w muzeum prezentowane będą projekty polichromii i witraży ze słynnym „Apollem spętanym". Wyspiański był autorem nie tylko witraży, ale projektował cały wystrój wewnętrzny domu Towarzystwa Lekarskiego: od kolorów ścian przez projekty ozdobnej balustrady, na meblach kończąc.

Bogato zapowiada się ekspozycja teatraliów. W przyszłym muzeum pokazane zostaną szkice i projekty scenografii oraz kostiumów opracowanych przez Wyspiańskiego.

O meblach, które zaprojektował Wyspiański dla domu Tadeusza Boya-Żeleńskiego głośno było w ówczesnym Krakowie. Pisał o nich Boy w felietonie-wspomnieniu w dziesiątą rocznicę śmierci Wyspiańskiego. „O ile były (meble) bezlitośnie niewygodne, były piękne jako całość. Salon z białego jaworu, z ogromną przewagą drewna, z amarantowym obiciem, ścianami, portierami i firankami w tym samy kolorze był olśniewający". Muzealnikom udało się odnaleźć ów salon. Po przeprowadzeniu niezbędnych zabiegów konserwatorskich będzie on wystawiony w stałej ekspozycji przyszłego muzeum.

Wśród pamiątek po artyście znajdzie się tu osiem z dziesięciu zachowanych szkicowników dziecięcych i młodzieńczych.

JAK JEŹDZIĆ SPRAWNIEJ

Szybki rozwój miasta, powstawanie nowych dzielnic, oddalanie się miejsc pracy od miejsc zamieszkania, wszystko to razem sprawia, że komunikacja miejska nabiera coraz większego znaczenia, a z drugiej strony — piętrzy przed nią coraz to większe trudności. Jeśli tempo rozwoju komunikacji w mieście jest wolniejsze od tempa rozwoju innych dziedzin miejskiego życia, to wtedy mamy do czynienia z komunikacyjnymi kłopotami. Trudno jest dostać się do pracy, autobusy i tramwaje miejskie nie kursują regularnie, każda awaria wywołuje spore zakłócenia w ruchu tramwajowym czy autobusowym, no i jeździ się w tłoku, czasem w ogóle trudno dostać się do tramwaju czy autobusu, a przecież trzeba, bo człowiek musi zdążyć na określony czas. I tak właśnie jest w Łodzi. A jest tak miedzy innymi dlatego, że w latach 1971—1978 ilość miejsc w tramwajach i autobusach wzrosła o 38 procent, a ilość pasażerów o 54 procent.

Problemami komunikacji w Łodzi i województwie łódzkim miejskim zajmował się Komitet Łódzki PZPR na swoim ostatnim posiedzeniu, w którym uczestniczył Członek Biura Politycznego KC PZPR, minister administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska — Józef KĘPA. Obradom przewodniczył I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław KOPERSKI. Referaty omawiające stan posiadania, zadania i trudności komunikacji w mieście i województwie wygłosili: prezydent miasta Łodzi — Józef NIEWIADOMSKI i sekretarz KŁ PZPR — Tadeusz CZECHOWICZ.

Wraz z rozwojem miasta rozwijała się komunikacja. Warto pamiętać, że od 1950 roku ludność Łodzi wzrosła z 630 tysięcy do 826 tysięcy. Powstały nowe dzielnice mieszkaniowe. Teofilów, Retkinia, Chojny, Stefana — Zgierska, Widzew Wschód, Dąbrowa, Zarzew. Powstały też dzielnice przemysłowe: Nowe Sady, Teofilów, Żabieniec, Dąbrowa. Buduje się SDM. Ludzie dostają nowe mieszkania, przenoszą się z jednego krańca miasta na inny, wydłuża się im droga do pracy, rosną komunikacyjne kłopoty. Rosną one, mimo że wraz z rozwojem miasta rósł stan posiadania MPK. I tak na przykład w 1960 roku mieliśmy w Łodzi 83 autobusy, a dziś jest ich 621. Tramwajów było wtedy 711, a dziś jest ich 801; jest to co prawda trochę mniej niż było w 1975 roku, ale tylko o 20 wozów. Wszakże ten stan posiadania MPK nie odpowiada potrzebom miasta.

Aby łatwiej nam jeździło się w mieście, potrzeba nie tylko systematycznego wzrostu taboru MPK, ale też równomiernego dopływu części zamiennych do tych autobusów i tramwajów, jakie już są. Potrzeba też systematycznej modernizacji sieci komunikacyjnej w mieście. Wybudowano wiele dwupasmowych ulic, przeprowadzono trasy, którymi można szybko dostać się z krańca miasta w inny kraniec, omijając centrum Łodzi, ale wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Dokończenia wymaga na przykład aleja Włókniarzy musi ona mieć dwupasmowe połączenie z ulicą Zgierską i ulicą Pabianicką. Pabianice i Zgierz muszą otrzymać obwodnice, aby ruch tranzytowy nie zakłócał ruchu wewnętrznego. Niezbędne jest dalsze budowanie wiaduktów. Bez rozbudowy sieci komunikacyjnej w mieście, autobusy i tramwaje nadal będą jeździły z „zawrotną" szybkością 14 km na godzinę, co jest już i tak postępem, gdyż w 1950 roku jeździły z szybkością 12 km na godzinę. Również i autobusy jeżdżą szybciej, bo w 1950 roku jeździły z szybkością 13,5 km/godzinę, a teraz jeżdżą z szybkością 18 km na godzinę. A i tak są to szybkości przeciętne, średnie. W godzinach szczytu szybkość tramwajów, szczególnie w al. T. Kościuszki jest znacznie mniejsza.

Co więc robić, aby mimo tych trudności łatwiej się nam jeździło po mieście, aby komunikacja nie utrudniała nam życia? Postęp dokona się wraz ze zwiększeniem ilości taboru, poprawą zaopatrzenia w części zamienne, jak też w miarę modernizacji sieci dróg. Planuje się na przykład włączenie do wojewódzkiego układu komunikacyjnego kolei obwodowej. Jest to powrót do starej koncepcji, lansowanej bezskutecznie od lat. Stanie się to wszakże po 1985 roku. Co teraz?

Trzeba nadal poprawiać organizację pracy w MPK, podnosić dyscyplinę. Można przecież tak regulować ruchem autobusów, aby nie jeździły stadami. Trzeba dbać o czystość w autobusach i tramwajach. Powinni zwracać więcej uwagi na to i sami pasażerowie. Trzeba wreszcie nadal różnicować czas rozpoczynania i kończenia pracy w fabrykach i urzędach. Pozwala to rozładowywać tłok w tramwajach i autobusach. Istnieje — jak z tego widać — cały szereg możliwości, których wykorzystanie może przyczynić się do sprawniejszego funkcjonowania komunikacji w mieście. Nowych rozwiązań trzeba szukać nieustannie, gdyż niesprawna komunikacja bardzo komplikuje życie w mieście.

PIKNIK

Dalszy ciąg ze str. 1

O wpół do dwunastej siadam przy stoliku na drewnianej werandzie, gdzie buszują młodzi chłopcy. Jedna półlitrówka jest już pusta, w innej zostało trochę na dnie. Kelner co chwila znika w drzwiach, pojawia się, lecz nie obsługuje a tylko po to, by rozłożywszy ramiona, wyrzec tragicznym głosem, że jest sam i się nie rozerwie.

Usiłuję zamówić porcję flaków. Kelner ze zbolałą twarzą, potrząsa ramionami:

— *Panie, ja tu jestem sam, wszystkiemu nie podołam.*

Znika w drzwiach wiodących do sali konsumpcyjnej.

Naprzeciwko mnie usadowiły się dwie pary małżeńskie. Panowie są prawie „gotowi", bełkocza bez sensu, całują się.

— *Pij, Zocha, do dna!* — krzyczy jeden. — *Przecież zapłacone!*

— *Te, Herbatnik, chcesz w ryja?* — rzuca się nagle drugi. — *Co ty do mojej Zochy leziesz?*

— *Ja?* — dziwi się kompan. — *Ja chcę wypić.*

— *A, to insza inszość. Kelner!*

— *Kelner!*

Kelner zjawia się nadspodziewanie szybko. Nachyla się nad stolikiem.

— *Nalej* — rozkazuje jeden z mężczyzn. — *Sobie też.*

— *Jestem w pracy* — mityguje się kelner bez przekonania.

— *Albo pijemy, albo się bijemy!* — wali pięścią w stolik drugi z mężczyzn.

Kelner szybkim ruchem wypija pięćdziesiątkę.

Jest godzina dwunasta dziesięć. Ponownie usiłuję zamówić porcję flaków.

— *Mówiłem już, że się nie rozerwę* — krzyczy kelner. — *O pierwszej będzie obiad.*

— *Ja chcę flaki.*

— Ponowne wymachiwanie ramion, teatralne gesty, zbolały wyraz twarzy. Znika na sali konsumpcyjnej.

Obok mnie zajmuje miejsce małżeństwo z małym chłopczykiem. Pan idzie na zwiady. Wraca z miną zatroskaną i niepewną.

— *Jeszcze nie mają jadłospisu, a ten co wisi, to wczorajszy.*

— *Czekamy?*

— *Czekamy.*

Dzieciak niecierpliwi się, prosi o oranżadę. Ojciec ponownie wstaje i idzie do sali w poszukiwanu kelnera. Po chwili wracają obaj.

— *Mówiłem już, że zaraz będzie obiad. Ja się nie rozerwę, nie mogę być tu i tam naraz. O, patrz pan ile gości się zeszło! I co? Jakbym tak teraz wszystkich obsługiwał, to pan wie, co by się działo?*

Po raz trzeci usiłuję zamówić flaki. Kelner jest wyraźnie zdegustowany moją bezczelną natarczywością. Jego wzrok mówi, że jestem bez serca, uparty i persona non grata. Chętnie by mi powiedział coś ostrego, ale przecież nie rozerwie się, nie starczy go dla wszystkich gości. Więc tylko macha ramionami, zawija białą serwetą i znika.

Dłużej nie miałem ochoty czekać. Zresztą nad wodą działo się coś niezwykłego, ludziska gnali w tamtym kierunku z takim pośpiechem, że nie mogłem pozostać w barze. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, co się stało, bo dwie kobiety w strojach kąpielowych krzyczały coś do siebie, jakby lada chwila miały schwycić się za włosy. Mężczyźni, pewnie mężowie, usiłowali je uspokoić.

— *O co chodzi?* — zapytałem cyklistę stojącego na siodełku roweru opartego o drzewo. Z góry widział lepiej.

— *Ale heca!* — powiedział ukazując bezzębne usta. — Chłopak wyruchał dziewczynę, a rodzice skaczą sobie do oczu.

Dopiero teraz dostrzegłem chłopca i dziewczynę stojących nad samą łachą piaskową. Nie mieli więcej jak po osiemnaście. Ona w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, on w białych slipach. Wcale nie wyglądali na grzeszników.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: IAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

SMAK WODY

WSS „Społem" w Łodzi Oddział Gastronomii powołała w swoim przedsiębiorstwie zespół „Lato 79", któremu przewodniczy dyrektor Ignacy Malinowski. Zadaniem tego ciała jest koordynowanie całokształtu obsługi gastronomicznej w mieście w sezonie urlopowym. Powiedzmy sobie od razu, że mimo rzetelnych wysiłków łódzkiej gastronomii, lato w mieście nie będzie łaskawe dla konsumenta.

Niby wszystko jest w porządku, a członkowie zespołu „Lato 79" pełnią nawet w dni świąteczne i wolne od pracy stałe dyżury, aby ratować sytuację, gdy będą tego wymagały okoliczności. Podczas upałów w ośrodkach niedzielnego wypoczynku nie zabrakło dzięki temu napojów chłodzących, choć nie było ich już ani w sklepach, ani nawet w zakładach gastronomicznych, gdzie serwowano tylko napoje firmowe.

Gastronomia łódzka może powiedzieć, że jest przygotowana do lata. W 72 zakładach zlokalizowanych przy trasach komunikacyjnych uruchomiono dla kierowców obsługę ekspresową, wydzielając specjalne stoliki. Stała sieć gastronomiczna została rozszerzona o 10 kuchenek polowych operujących w Parku Ludowym na Zdrowiu, a także w innych ośrodkach rekreacyjnych. Przybyło także miejsc konsumpcyjnych (blisko 3.900) dzięki 73 ogródkom ulicznym wyposażonym w altanki i „konwalie", jakie widzi się choćby obok „Magdy", „Balatonu", „Kaskady", choć obiad po dawnemu najpewniej będzie można zjeść na tarasie „Tivoli". I to niekoniecznie ten prawdziwie letni złożony choćby z bukietu jarzyn, bo to już przerasta możliwości Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Łodzi, która jest głównym dostawcą łódzkiej gastronomii. Dowody? W czerwcu gastronomia nie mogła wyegzekwować od swego kontrahenta sałaty, szpinaku, porów, selerów, marchwi, kapusty. Na osiem zamówionych asortymentów z reguły otrzymywała tylko dwa. Sytuację ratowało to, że zakłady gastronomiczne mają prawo we własnym zakresie dokonywać skupu warzyw i owoców, ale to rzutuje natychmiast na cenę posiłków.

Gastronomia dąży do rozszerzenia sprzedaży lodów i w tym celu zakupiło siedemdziesiąt włoskich automatów, które uruchomiono w specjalnych punktach przy zakładach gastronomicznych (41 sztuk) oraz w lodziarniach (23). Byłaby to może ilość wystarczająca, uwzględniając produkcję własnych lodów tradycyjnych, których blisko tonę dziennie sprzedaje się w kawiarniach, cukierniach i restauracjach. Niestety bardzo wydajne, a jednocześnie bezpieczne automaty włoskie, stoją niemal bezczynnie, zamrażając... kapitały przedsiębiorstwa. Powód jest bardzo prozaiczny: brak proszków do lodów produkowanych przez Zakłady Koncentratów Spożywczych „Amino" w Poznaniu. Łódź złożyła zamówienie na 100 ton lodów w proszku. Miało być ono zrealizowane w ciągu sześciu najcieplejszych miesięcy. Tymczasem dostawy osiągają w najlepszym wypadku piątą część zamówionej ilości, średnia zaś utrzymuje się na tym samym poziomie 12 proc. Skutek jest taki, że drogie importowane maszyny stoją nie wykorzystane, a przed nielicznymi czynnymi okienkami produkcji lodów ustawiają się długie kolejki.

Gastronomia ratuje się sprzedażą lodów gotowych, które jednak nie dorównują smakiem tym z automatu. Produkcji lodów tradycyjnych także nie można zwiększyć, gdyż wymaga ona surowego reżimu sanitarnego. Gastronomia, która zwyczajem przyjętym w jej branży nie chce się tłumaczyć, że to zawinił kolega, sięga do środków nadzwyczajnych. Dzięki interwencji w stolicy Łódź otrzymała przyrzeczenie dostawy 75 ton lodów w proszku, ale nawet to okrojone zamówienie nie jest zrealizowane w 50 proc. Wbrew umowie, która zakłada przywóz tego proszku środkami transportowymi producenta, gastronomia łódzka wysyła do Poznania własne samochody, byle tylko zdobyć pożądany produkt. Często te samochody wracają z niczym. Niekiedy trzeba zdobyć własnym sumptem mleko w proszku, które można w „Amino" wymienić na proszek do lodów jak to miało miejsce ostatnio, bowiem producent tłumaczy się brakiem mleka w proszku.

Są zresztą kłopoty także ze zwykłym krowim mlekiem, a w każdym razie były do niedawna, bo interwencja w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej odniosła pewien skutek, chociaż w dalszym ciągu bufety przy zakładach pracy nie otrzymują napojów mlecznych ani twarogów. Ale to i tak postęp w porównaniu z tym, co działo się pod koniec maja, kiedy mleko, kefir czy twaróg były nieosiągalne rano nawet w barach mlecznych. A przecież napoje mleczne mogą i powinny uzupełniać asortyment napojów chłodzących, których w gorące dni w Łodzi notorycznie brakuje. Całe szczęście, że sytuację ratują nieco saturatory z wodą sodową sprzedawaną wprost na ulicy.

I tegoroczne lato zapowiada się suche. Wody mineralnej w Łodzi jest tyle co na lekarstwo. W sklepach słyszało się odpowiedź, że będzie w zimie. W zakładach gastronomicznych oferowano zamiast wody mineralnej nie najlepszej jakości piwo z łódzkich Zakładów Piwowarskich. Mogło być jeszcze gorzej, bo na przykład browar warecki, którego napoje cieszą się zasłużoną sławą przysłał do łódzkich restauracji 15 hl piwa (4.500 butelek) z obiecanych 3.800 hl (ponad 11 mln butelek). Ostatnia dostawa miała miejsce 3 maja i od tego czasu źródło wyschło mimo monitów ze strony gastronomii. W dostawach „Żywca" Łódź została w ogóle pominięta w ogólnopolskim rozdzielniku i nie kupi się go w żadnej restauracji czy kawiarni bez względu na kategorie, widocznie odpowiedzialny za te sprawy pracownik w łódzkim Wydziale Handlu nie lubi piwa i można to zrozumieć — ale dlaczego zaraz te upodobania narzucać 800-tysięcznemu miastu?

Zakłady Piwowarskie w Łodzi, a ściślej ich Wytwórnia Napojów Bezalkoholowych systematycznie nie wywiązują się z dostaw wobec gastronomii. W okresie upałów brakowało zarówno „Pepsi-coli" jak „Cytrone-ty", a nawet „Mirindy". Konwojenci oferowali kierownikom zakładów napoje bezalkoholowe za dodatkową, słoną opłatą, były takie sygnały choćby z Arturówka. To także symptom, że sytuacja nie jest najlepsza i wymaga radykalnych rozwiązań ze strony władz miejskich. Tymczasem słychać, że istniejąca obecnie o wiele za mała wytwórnia wód gazowanych przy Zakładach Piwowarskich ma być zlikwidowana. Co łodzianie już nie tylko korzystający z usług gastronomii, otrzymują w zamian? Wody mineralnej przecież także brak, nie tylko w kawiarniach i restauracjach. Gastronomia usiłuje się ratować wysyłając własne wozy do hurtowni „Buskowianki". Mimo umówionego wcześniej terminu, 13 czerwca samochód wrócił pusty.

Te braki powtarzają się od lat. Łodzianin, który z różnych powodów musi spędzić lato w mieście, z przyzwyczajenia psioczy na gastronomię, kiedy w upalny dzień nie może kupić lemoniady, piwa, lodów czy kefiru. Jeśli nadejdzie nowa fala upałów, znowu wszystkiego zabraknie: własnymi siłami gastronomia może zaledwie łagodzić sytuację, rozwiązać jej nie jest władna, bo chodzi o posunięcia wykraczające poza jej kompetencje.

Stawiam więc pod adresem Wydziału Handlu Urzędu Miasta Łodzi pytanie, co zamierza zrobić, aby drugi podwzględem wielkości ośrodek miejski w Polsce nie był dyskryminowany w rozdzielniku i na równi z Warszawą, Gdańskiem, Krakowem, Katowicami czy Wrocławiem otrzymywał artykuły ułatwiające przeżycie lata w mieście. Przemawia za nami argument ciężkiej pracy dla dobra wszystkich.

KONRAD FREJDLICH

Foto: R. Łucyszyn

„ZIELONE LINIE" POD CZERWONYM ŚWIATŁEM

— Ma pan przed sobą chłopaka do bicia — powiedział do mnie z-ca dyr d/s eksploatacji w dyrekcji MPK przy ul. Tramwajowej 8, inż. Józef Korkosiński, gdy wyłuszczyłem mu cel swojej wizyty. — Przecież cokolwiek powiem na swoje usprawiedliwienie i tak to niczego nie zmieni: ludzie będą narzekać na nasze usługi, a my ze swej strony nie jesteśmy w stanie zaspokoić potrzeb naszych pasażerów. Ja, proszę pana, codziennie wysłuchuję przez telefon, że jestem nieudolny, ograniczony, sabotażysta, głupi baran, kryminalista itp. Ludzie dzwonią nawet z najbłahszych powodów, obrażają mnie, straszą więzieniem. A ja co jakiś czas, zmęczony tą walką z wiatrakami, składam rezygnację z zajmowanej funkcji. I każdorazowo mi ją odrzucają.

Dyrektor Józef Korkosiński kładzie przede mną wykazy, plany, zestawienia, programy. Rośnie stos papierów, przybywa cyfr, aż zapominam o tym, że przecież przyszedłem tu, by dowiedzieć się o tegorocznym funkcjonowaniu tzw. „zielonych linii" autobusowych, bo oto wyłania się dość jednostronny i wcale nie optymistyczny obraz łódzkiego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego.

— Opracowaliśmy — mówi inż. Józef Korkosiński — program naszych usług na okres letni w dni wolne od pracy. Dotyczy on tramwajów i autobusów. Program został zaakceptowany przez Prezydium Komisji Zdrowia, Spraw Socjalnych i Ochrony Środowiska Rady Narodowej Miasta Łodzi oraz przez Zespół ds. Sportu i Turystyki Komisji Organizacyjnej Komitetu Łódzkiego PZPR. Programem tym objęliśmy Park 1 Maja, Stawy Jana, Park Ludowy, Łagiewniki i Arturówek, Łodziankę, kąpielisko Chełmy w Zgierzu, Lućmierz, Ozorków, Młynek, Nowosolną, Rąbień, Bugaj w Pabianicach, Rzgów — Tuszyn, Grotniki, Wiśniową Górę i Malinkę. Ale sprawa „zielonych linii" nie jest ani łatwa ani prosta, choć w niedziele i święta około 30 proc. ogólnego taboru jest wycofywana z regularnych kursów. Przecież kierowcy, którzy jeździli przez całą sobotę, wyjeżdżają także w niedzielę i wracają do bazy około godziny 21, by w poniedziałek o trzeciej nad ranem ponownie usiąść za kierownicą. Powyższy program nie jest czymś ostatecznym i bywa weryfikowany na bieżąco przez naszą służbę. W ostatnią upalną niedzielę na linii pl. Dąbrowskiego — Łagiewniki (linia 51) podstawiliśmy 10 autobusów z tzw. „zielonej linii", choć kursują tam dwa autobusy z linii regularnej. Niestety, było to przysłowiową kroplą w morzu potrzeb. Tłum był tak wielki, że zaszła potrzeba ściągnięcia dodatkowych 8 autobusów z normalnych linii pośpiesznych w mieście. Oczywiście, że taka decyzja spowodowała trudności komunikowania się z odległymi dzielnicami i jak co dnia odezwały się nazajutrz telefony odsądzające mnie od czci i wiary.

Ponownie przeglądam zestawienia i wykazy. Łódzki tabor autobusowy w 20 procentach nadaje się do kasacji. Na 150 berlietów, 55 stoi bezużytecznie z braku części zamiennych. Codziennie na łódzkie ulice wyjeżdża o 40 autobusów mniej niż wynika to z planów (ale gdyby owe 40 autobusów wyjechało i tak nie uzdrowi to trudności komunikacyjnych). Aktualnie w MPK brakuje 140 kierowców autobusowych (etatów jest 1.300) i 250 motorniczych (etatów 1.100). Bardzo często kierowcy nie wytrzymują pracy non stop, odchodzą. W roku ubiegłym odeszło 295 motorniczych i 505 kierowców, poważny procent z tego otrzymało zwolnienia dyscyplinarne. Tak więc rotacja jest ogromna, choć zarobki solidne. Specyfiką pracy w MPK jest to, że praktycznie żaden kierowca i motorniczy nie wie w jakich godzinach wypadnie mu pracować jutro czy pojutrze. Dowiaduje się o tym częstokroć w ostatniej chwili. Bywa, że kończy przed północą i nad ranem ponownie zjawia się w zajezdni. Jak więc planować wypoczynek, rozrywkę, życie rodzinne?

„Zielone linie" przynoszą dochód. Ale autobusy wracające z Grotnik czy Łagiewnik nie zawsze mogą nazajutrz wyjechać na miasto. Często przez całą noc ekipy montażowe starają się wstawić powyrywane drzwi, połamane stopnie, zniszczone fotele. Ludzie chcą przebywać nad wodą czy w lesie jak najdłużej, a potem pragną jak najszybciej znaleźć się w domu. Stąd owe potworne szturmy do drzwi, łamanie i rozbijanie wszystkiego, co stoi na drodze. A przecież częstotliwość kursowania autobusów jest spora, np. na „zielonej linii" pl. Pionierów — Grotniki jest tych kursów aż dwadzieścia w każdą stronę.

— Zdaję sobie sprawę z faktu, że posypią się narzekania na komunikację z naszych „zielonych linii", że usłyszę przez telefon nową porcję inwektyw i pogróżek, ale my naprawdę robimy wszystko by jak najwięcej autobusów i tramwajów wyjeżdżało na trasy — mówi zmęczonym głosem inż. Józef Korkosiński. — W każdym bądź razie w miarę potrzeb zwiększymy nie tylko ilość kursów lecz i ilość autobusów do miejscowości niedzielnego i świątecznego wypoczynku. Choć będzie to często odbywało się kosztem tych, którzy pozostaną w mieście.

BERNARD KOWALSKI

NAD GRABIĄ

— Jakby nie chciała, siłą by nie zrobił. Po co szła z nim w las? — krzyczała jedna z kobiet.

— Pójdę do lekarza — szarpała ją druga. *— Już ja go urządzę!*

— Ciszej, kobiety — strofował jeden z mężczyzn. *— Po co ten cyrk? Stało się i nic się nie odwróci.*

— Jesteśmy ludźmi kulturalnymi....

— Kulturalny człowiek nie uwodzi cudzego dziecka.

— Sama chciała. Sama!

— Prokurator wyjaśni, sama czy nie sama.

Zbiegowisko rosło, ludzie zaczęli dogadywać, posypały się żarty, ktoś zaczął naśladować płacz noworodka. Kłócący się, nie patrząc w stronę stojących winowajców poszli w kierunku żółtego namiotu stojącego po drugiej stronie rzeki. Pewnie postanowić, co i jak. Ale widać było, że to dwie znające się ze sobą rodziny, których spokojną przyjaźń zakłóciła nagła miłość dorastających dzieci.

Ostatecznie rozładował sytuację pijany mężczyzna, w odświętym ubraniu maszerujący korytem rzeki. Brnął po kolana w wodzie, momentami padał, lecz zaraz się podnosił i nie przestając śpiewać szedł dalej.

— Dokąd to? — wołano z brzegu. *— Pod mostem jest głębia.*

— Pod prąd — odpowiadał wymachując czapką. *— Nie wpadnę pod tramwaj.*

Wzdłuż brzegu szła niemłoda kobieta i co chwila zwracała się do idącego korytem rzeki mężczyzny:

— Tomuś, wyjdź, ja cię bardzo proszę.

Ale Tomuś nie zwracał na nią uwagi, z trudem przebrnął przez wymyte doły pod mostem, raz jeszcze machnął czapką i poszedł w górę rzeki.

O godzinie pierwszej w południe rozpoczęto w „Jambole" wydawanie obiadów.

W przeciwieństwie do baru „Leśnego", gdzie o miejsce przy stoliku trzeba walczyć, tu, w przestronnej sali restauracyjnej, jest pustawo. Niektórzy, przejrzawszy kartę obiadową, rezygnują. Ceny za posiłki są wysokie, choć same posiłki podawane są szybko i z wielką znajomością sztuki kelnerskiej. Na pierwszym miejscu w jadłospisie (10.VI.1979 r.) figuruje tzw. zestaw bułgarski: bulion po bułgarsku i rolada po bułgarsku. Potem jest wykaz dań z drobiu: kurczak pieczony — 65 zł porcja, kurczak gotowany w potrawce — 58 zł, kurczak duszony — 53 zł. Dania na zamówienie są jeszcze droższe: bryzol ze schabu — 63 zł, befsztyk wołowy z polędwicy — 59 zł, stek wieprzowy — 69 zł, rumsztyk wołowy — 67 zł, filet ze schabu — 61 zł, golonka 105 zł. Jest także dość duży wybór dań rybnych, jarskich oraz zup.

„Jamboł" prowadzi restaurację I kat., co rzuca się w oczy zaraz po wejściu do sali: uprzejma obsługa, czystość, kwiaty, grający telewizor. Ale na niedzielny wypoczynek do Kolumny przyjeżdżają nie tylko ci, którzy wygrali milion w toto-lotka. Obserwowałem dość liczną rodzinę z Łodzi, która dotarła tu własnym, mocno sfatygowanym trabantem. Po przejrzeniu karty obiadowej w „Jambole" wyszli na taras by się naradzić.

— Gdybyśmy wzięli cztery porcje kurczaka duszonego, to wyszłoby... — pani zaczyna liczyć.

— 212 złotych — szybko dodała najstarsza latorośl w okularach.

— No, widzisz. Za te pieniądze mamy w Łodzi obiady na dwa dni.

— Nie przesadzaj, matko.

Stoją niezdecydowani, co dalej. Ktoś usłużny wskazuje im zejście do baru „Leśnego". Postoją w kolejce, za to zaoszczędzą sporo grosza.

Bar „Leśny" stanowi konkurencję dla „Jamboła", gdyż panuje tu swojskość i wchodzi się doń od razu z wąskiego pasemka plaży, często w stroju kąpielowym, co w „Jambole" jest nie do pomyślenia. „Jamboł" traci konsumentów nie tylko ze względu na ceny posiłków, lecz i na skutek tego, że dość przytulna kawiarenka jest nieczynna, zamknięta „z powodu choroby personelu". Do baru „Leśnego" można pójść na jedną wódkę, lecz nie wyobrażam sobie, aby można tam było gwarzyć przy kawie. Nie ta oprawa, nie ten nastrój.

Tak więc piknik nad Grabią może być udany lub nie, w zależności od tego, kto i jak potrafi wypoczywać. Jeśli przyjeżdża się po to, by upić się do przerwy w życiorysie, jest to czas na pewno stracony. Stracony czas jest także i dla tych, którzy pobyt w Kolumnie nad rzeką traktują jako okazję do mycia i reperacji samochodów. Co kilkaset metrów można napotkać rozebrane silniki, umazanych mężczyzn leżących pod samochodami, rozlane oleje i benzynę, porzucone brudne szmaty.

Czy naprawdę nie potrafimy wypoczywać?

Sądząc po tym, co zaobserwowałem w Kolumnie, twierdzę, że nie.

EUGENIUSZ IWANICKI

LUBIĘ SOBIE POWSPOMINAĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

Polaka majstra to musiałeś szukać ze świecą. Prawie sami Niemcy. W handlu Żydzi. Polak był od czarnej roboty. Po odzyskaniu niepodległości niewiele się zmieniło. Taki Kon, to trzymał w szachu cały łódzki magistrat, nawet w Warszawie się z nim liczyli. Pamiętam go, tu, Targową, szedł zawsze obok swego powozu. Drań, nie chciało mu się jeździć. Lubił patrzeć na swój Widzew. Dorożka wydawała mu się za szybkim pojazdem. A wtedy jego synalek, Maks, rozjeżdżał się z dziwkami najnowszym modelem samochodu.

Granatowy stał zawsze na rogu Przędzalnianej i Rokicińskiej. Nie salutował staremu, ale Kon wiedział, że policjant zawsze tam będzie. Czuł się pewniej. Mówili o nim „widzewski królik". Widzew był jego — „Wima", domy, sklepy, grunty. To był Żyd kuty na cztery nogi. Forsę umiał wycisnąć ze wszystkiego.

Znienawidzony był przez całą Łódź. Za lichwiarskie czynsze w tych swoich jednoizbowych „pryjutach" za głodowe stawki w akordzie, najniższe w całej Łodzi, za szarże granatowych. Nienawidzili go też łódzcy Żydzi, szczególnie biedota.

Grubo przed wojną wszystkie kapitały pchał do Szwajcarii. Niemcom powiedział: Wszystko wam oddam, ale papiery do podpisania leżą w neutralnym kraju. Wywieźli go. Umarł podobno w Meksyku, kilkanaście lat po wojnie.

1 listopada 1978 r. Wszystkich Świętych, godz. 20, mieszkanie Stefana Kruczyńskiego na Widzewie-Wschodzie.

— Patrz, jak łuna bije od cmentarza. Taki widok mam raz na rok, zawsze we Wszystkich Świętych. Wtedy widzę cały dawny Zarzew. Kiedyś, jak wyszedłeś na Stoki albo na Zarzew, to widziałeś całą Łódź.

Ten czarny cień, to las Bussego. Teraz to będzie przyjemny park, dodaje uroku osiedlu. To będzie najładniejsze osiedle w Łodzi. Co, nie wierzysz? Za cmentarzem nowa elektrociepłownia. Kolos. Trochę w prawo — „Elester", Fabryka Domów, „Polanil", „Bistona".

Pamiętam, jak Niemcy atakowali od Dąbrowy, tam były same zagajniki, takie małe laski, a Rosjanie okopali się tam, gdzie dzisiejszy cmentarz. To była pierwsza wojna, nabitych Szwabów leżało od metra, chodziliśmy z koleżkami i przyglądaliśmy się.

Kiedyś, nad Widzewem górował komin „Wimy". To był najwyższy komin w Polsce. Przestawał dymić, kiedy robotnicy mówili: nie. A było to często. Wtedy szło na ostro. Pamiętam rozhukane konie kozackie i mołojców na oślep walących nahajkami. Taki kiedyś był Widzew. Lubię wspominać. To cecha ludzi w moim wieku. Tylko nie myśl sobie, że dawniej życie, to była tylko sama harówka. Człowiek ma to w sobie, że musi mieć wytchnienie, musi mieć oddech. Robota ciężka, za cara po dwanaście i piętnaście godzin, potem za Polski, normalnie, tak jak teraz — po osiem. Ale z robotą było krucho, nie to, co dziś. Wyszedł sobie taki pan kierownik i przez sztachety pokazywał palcem — ten, ten, tamten. Uszczęśliwiał dwudziestu ludzi na tysiąc, reszta szła z kwitkiem. Kiedyś, jak ktoś się dostał do roboty, to uważał, że wyciągnął szczęśliwy los. Ludzie robotę szanowali. Każdy trzymał się jej rękami i nogami. Nie było mowy o spóźnieniu, albo — jak to dzisiaj mówią — o bumelce. Przerobiłem pięćdziesiąt dwa lata. Ani jednego dnia nie nawaliłem, chyba, że zwaliła mnie grypa, to się zdarzyło dwa lub trzy razy. Jak mnie matka przyprowadziła, majster Wolf, gruby Niemiec, popatrzył, wysłuchał, co matka mówi, wziął mnie za kark i powiedział: — No, od dzisiaj dla ciebie koniec z obijaniem, ty za tydzień będziesz dorosły. To było wprowadzenie w nowy świat. Majster Wolf, jak sobie popił i był w dobrym humorze, to mówił: — Stefan, ty będziesz człowiek, ty tylko słuchaj, więcej nic. Ale nieraz targał za włosy i krzyczał: — Do gnoju, a nie na tkalnię. Majster w fabryce był alfą i omegą. Był wszystkim.

Chłopaka czy dziewczynę do fabryki przyprowadzał ktoś: krewny lub znajomy i brał pod swoją opiekę. Robota przy krosnach podobała mi się. Byłem pojęty, bystry, po pół roku robiłem to, co matka, a później doganiałem najlepszych. Matka cieszyła się. Kiedy jej już nie było, pamiętałem, co mi powiedziała: Musisz być twardy.

Osiemdziesiątka na karku, a jeszcze mogę wypić, porozmawiać. Ty się nie śmiej. Jak matka umarła, poszedłem do babki na Niciarnianą. Babka mieszkała w starych drewnianych domkach, co je jeszcze postawił Kunitzer. Na Niciarnianej, z brzegu stoi wieżowiec, w tym miejscu stał dom, w którym mieszkała babka. Zajmowała jedną izbę, w której mieściły się dwa łóżka, stół i szafa. Kroku nie mogłeś dać. Tam żyliśmy jak jedna „famuła". Każdy wiedział o każdym wszystko. W lato, po robocie, wieczorem, wszyscy lokatorzy zbierali się na podwórku, siadali na studni i toczyła się pogawędka. Mówili o swoich troskach, a prawie wszyscy mieli jednakowe. Ten pił, tamten nie oddawał pieniędzy, inny wdawał się w politykę. Baby wiodły prym. Każda miała na karku całe utrzymanie. Chłop tylko dawał, ile mógł, a całą podporą rodziny była kobieta. W tych domkach na Widzewie solidarność była nierozerwalna, a przyjaźnie pozostawały na długo. Teraz mieszkam w bloku cztery lata, a dobrze nie znam wszystkich lokatorów.

Jak mieszkałem z babką na Niciarnianej, to zawsze była beczka kapusty, ogórki, dwa metry kartofli. Wchodziłeś do sieni i czułeś. To była ta woń. Tam żył widzewski robociarz. Kapucha i pyry. Babka chodziła w długiej chuście z frędzlami. Tak chodziła wtedy większość kobiet. To było coś w rodzaju płaszcza, taka chustka sięgała od czubka głowy, aż za biodra. Było praktyczne. Jeśli spotkało się na ulicy kobietę w płaszczu, wiadomo było, że to nie żona, czy córka robotnika. Strój wyróżniał ludzi. Jeśli szedł facet w garniturze, pod „bindą", z teczką, to urzędnik. Robotnik ubierał się w co mógł. Jedzenie do roboty przeważnie zawijał w gazetę, lub kładł w „tytkę". Wtedy wiadomo było, że nasz, swój.

Ożeniłem się dość późno. Żonę poznałem na zabawie, u Brauna na Przędzalnianej. To były takie robotnicze, fabryczne potańcówki. Tam był parkiet, jak lustro. Już tej sali nie ma, rozebrali ją kilka lat temu. Pozostał tylko budynek od frontu.

To były głośne zabawy. Przychodzili tam wszyscy z całego Widzewa, z Dołka, ze Szlezyngu. Często dochodziło do bijatyk. Nierzadko na noże i kastety. Pamiętam, jak przyjechali „fetniaki" ze śródmieścia. A jakże, dorożkami. Każdy ulizany na blachę. Wtedy to żeśmy się z nimi wałkowali Fabryczną, Kilińskiego, Główną. Wszystkie tramwaje stały. A policja nic. Granatowi nie zawsze wtrącali się w takie grube awantury. Każda dzielnica strzegła swego honoru.

Jak chodziłeś z dziewczyną z innej dzielnicy, to musiałeś się „wkupić". Inaczej byłeś „frajerem" i dostawałeś „oklep". W sobotę, po robocie każdy brał zakąski, wódkę, kompot lub „sinalco" i wio, przeważnie na Młynek i Dąbrowę. Tam rozkładało się koce i majówka gotowa. Jak zebrała się paczka po pięćdziesiąt dziewczyn i chłopaków, to urządzano prywatną zabawę. Była harmonia, mandolina, gitara. Do dziś umiem grać na tych instrumentach.

Po ślubie zamieszkaliśmy w „famułach" na Przędzalnianej. To był pewien awans społeczny. Mieszkania tam były większe i wygodniejsze. Mieszkałem tam od 1928 roku, do renty. Scheiblerowie, w przeciwieństwie do innych łódzkich fabrykantów, budowali solidniej. Urządzeń sanitarnych, takich, jak dzisiaj, tam nie było, ale warunki były znośne.

11 listopada 1978 r., sobota. Idziemy wolno ulicą Przybyszewskiego w stronę cmentarza.

— Tak, jak idą tory kolejowe pod wiaduktem, to w trzydziestym dziewiątym uciekłem Niemcom z pociągu. Wzięli nas pod Dęblinem i przez Radom wieźli na zachód. Za Radomiem mówię do Bolka Maciejewskiego: — Jak nas będą ciągnąć na Skarżysko, to pryskamy od razu, a jak na Tomaszów, to czekamy.

Patrzę, walimy na Tomaszów. Dobra jest, przywiozą nas do Łodzi. W nocy zatrzymaliśmy się między Dąbrową a Zarzewem, obok takiego małego kircholu. Teraz tam stoi „Strzelczyk". To my na ten kirchol. Przesiedzieliśmy aż pociąg odjechał i do domu. Potem dowiedziałem, się, że Bolka złapali. On był ze Zgierza. Wywieźli do stalagu. Ja jakiś czas ukrywałem się. Przychodzili noc w noc. Potem zapomnieli. Poszedłem do Scheiblera na nową tkalnię. Wtedy było ciężko. Noc w noc kogoś brali. Ludzie zmienili się. Mój dawny kolega, Niemiec Kleist, z cichego, spokojnego faceta, zrobił się sukinsyn. Chodził w czarnym mundurze. Trzeba mu było schodzić z oczu. Powydawał wielu chłopaków. Kropnęli go w czterdziestym piątym, jak uciekał szosą pabianicką. Najgorsi byli łódzcy Niemcy. Zdarzali się i wśród nich porządni ludzie. Taki Meier, majster, ostrzegł mnie: — Stefan, obserwują cię. Najlepiej zrobisz, jak znikniesz.

Z Warszawy przychodziły gazetki. W Łodzi dopiero organizowaliśmy „robotę". Dostałem polecenie od towarzyszy: — Masz zniknąć z Łodzi. Spakowałem manatki i pojechałem na roboty do Niemiec. Kontakt z domem utrzymywałem. Wiedziałem, co się tu dzieje.

Do końca wojny pracowałem w fabryce zbrojeniowej w Hanowerze. Tam było towarzystwo międzynarodowe, istny kocioł narodów, nawet Marokańczycy i kilku Chińczyków. Już grupo po Stalingradzie, kiedy Niemcy trochę zmiękli i warunki zrobiły się całkiem znośne, od dywanowego nalotu Amerykanów zasypało nas w długim betonowym magazynie. Nie zdążyliśmy wyjść do schronu. Siedzimy: ja, dwóch Rosjan i jeden Włoch. Rosjanie obmacują ściany. A Włoch w bek. Mówię: — Już nie będziesz, Dino, na niedzielę łba margaryną smarował. A on płacze jeszcze bardziej. Siedzieliśmy tam dwie doby. Odkopali nas.

Po wyzwoleniu Anglicy agitowali, żeby zostać, obiecywali złote góry. Pierwszym transportem pojechałem na wschód. Do Łodzi jechałem dwa tygodnie. Kiedy wysiadłem na Kaliskim, nogi się pode mną ugięły. Różnie mówili, że Łódź zbita, że Niemcy ewakuowali część ludności. Różne takie szły wieści. Patrzę, dworzec stoi, tramwaje chodzą, domy nie naruszone.

Na trzeci dzień po przyjeździe byłem w fabryce na starych śmieciach. Wszystko stało. Nie było węgla, bawełny, maszyny porozkręcane, zdemontowane, część Niemcy powywozili. Wszystko zaczynało się od początku.

Przez pierwsze tygodnie pieniędzy nie było. Ludzie otrzymywali za pracę różne artykuły spożywcze. Dowiadywałem się o losach znajomych, kolegów, przyjaciół. Wielu zginęło, część przetrwała. Jak sobie przypominam tamten zapał, entuzjazm, prężność naszych widzewiaków, ich twardość, to widzę, że to, co wtedy robiliśmy, nie poszło na marne, procentuje w naszych osiedlach, w dorodności naszej młodzieży, w zasobności nas wszystkich.

Wnuczek projektuje maszyny włókiennicze, skończył politechnikę, pracuje w „Wifamie". Jego ojciec od małego miał inne upodobania. Zawsze ciągnęło go do lasu. Trochę się boczyłem, ale w końcu mówię: — Chcesz, to jedź, ale mały zostanie u mnie.

Tradycja zaginąć nie może. Szlag by mnie trafił, jak by było inaczej. Teraz lubię pochodzić tymi ulicami, popatrzeć na te mury, na ten stary park, a czasami odwiedzić swój zakład. Owszem, nie można powiedzieć, dbają o nas starych, często z rady zakładowej przysyłają zaproszenia na różne imprezy, czasami wręczą upominek, trochę forsy, dadzą bilet do teatru, czy na koncert. Starość nie jest taka zła. Życie trzeba umieć urozmaicić nawet, jak się ma osiemdziesiątkę.

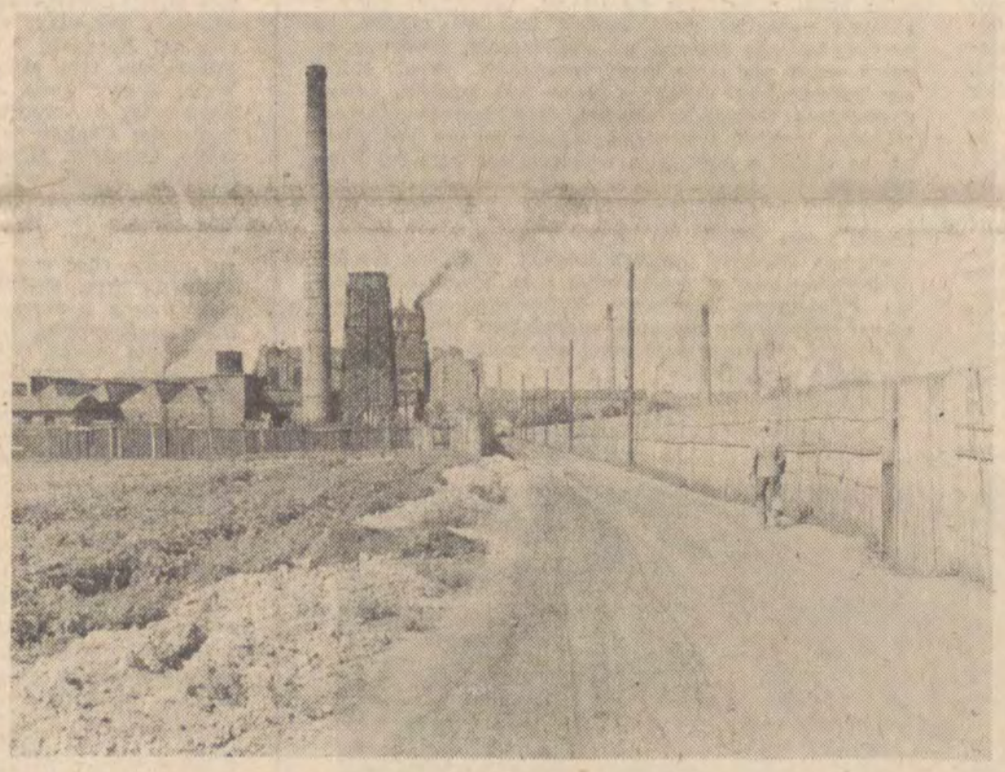

Stara Łódź. Ulica Milionowa. *Foto: Archiwum*

ANTONI RYDLEWSKI

(Reportaż uzyskał III nagrodę w konkursie o nagrodę „Czółenka Tkackiego" — 1979).

TRENTOWSKI

„Podstawy filozofii uniwersalnej" Bronisława F. Trentowskiego ukazały się po raz pierwszy — i do niedawna jedyny — po niemiecku w 1837 r., zaś jego „Wstęp do nauki o naturze" również w tym języku w roku 1840. Z dziełami tymi wiązał autor — wychowanek Uniwersytetu Warszawskiego, porucznik jazdy w powstaniu listopadowym, który osiadł we Fryburgu Badeńskim — znaczne nadzieje na przyszłość. Spodziewał się bowiem, że prace te, jak również opracowana przezeń łacińska rozprawa habilitacyjna, otworzą mu drogę do upragnionej katedry uniwersyteckiej. Sprawa nie była wcale niemożliwa do przeprowadzenia, skoro katedra filozofii na uniwersytecie we Fryburgu nie była obsadzona, zaś liberalna część grona profesorskiego odnosiła się życzliwie do polskiego wychodźcy. B. F. Trentowski katedry wszakże nie otrzymał, o czym przesądziły — jak nieraz w podobnych wypadkach — władze polityczne, nie sympatyzujące z liberałami, a zmuszone coraz to bardziej liczyć się z kręgami zachowawczymi i kościelnymi. Katedra filozofii we Fryburgu przypadła więc kandydatowi, mającemu za sobą poparcie episkopatu.

Znakomity znawca filozofii B. F. Trentowskiego Andrzej Walicki najsłuszniej zwraca uwagę, że niemieckie pisma polskiego myśliciela zyskały sobie nierównie większy oddźwięk w Polsce, aniżeli w Niemczech. W twórczości myśliciela zajęły miejsce poczesne: „były one pierwszym zarysem filozofii rozwiniętej przezeń i zmodyfikowanej w jego pracach polskich, które zapewniły mu pozycję najbardziej płodnego i poczytnego filozofa polskiego lat czterdziestych", rzecz jasna ubiegłego XIX stulecia. Dlatego też A. Walicki podkreśla z mocą, że „mamy pełne prawo traktować te książki jako ogniwo rozwoju filozoficznej myśli polskiej".

Oddźwięk filozoficznego pisarstwa autora „Wstępu do nauki o naturze" był w społeczeństwie polskim jego czasów zaiste ogromny. Wypowiadali się o nim wielcy twórcy polskiego Romantyzmu z Adamem Mickiewiczem i Zygmuntem Krasińskim na czele, rozczytywali się w pismach uczonego rozmaici miłośnicy filozofii i profesjonalni filozofowie, by wspomnieć Karola Libelta. Był wreszcie B. F. Trentowski autorem, którego poglądy z zapalczywym uporem zwalczali obrońcy kościelnej ortodoksji w dziedzinie filozoficznej, w czym najgłośniejszy okazał się Feliks Kozłowski. Prócz licznych polemik, rozrzuconych na łamach emigracyjnej i krajowej prasy, poświęcił on krytyce koncepcji Trentowskiego dwutomowe dzieło, wydane w 1845 r., w którym zaprezentował — jak podkreśla A. Walicki — „systematyczny wykład „filozofii chrześcijańskiej" konfrontowanej w każdym punkcie z filozofią Trentowskiego. Każdorazowym wynikiem tych konfrontacji było stwierdzenie, że filozofia Trentowskiego jest antychrześcijańska, a tym samym antynarodowa, bardziej antychrześcijańska niż czysto idealistyczna filozofia niemiecka". Podobne opinie, rozchodzące się szeroko, z pewnością zaważyły też na recepcji pism Trentowskiego.

Niemieckie prace wybitnego polskiego myśliciela doby Romantyzmu mogły być do niedawna znane li tylko specjalistom, badaczom jego myśli. Nie są to bowiem druki łatwo dostępne w naszych bibliotekach, ponadto ich język — nie tylko z powodu, że zostały napisane po niemiecku — nie należy do najłatwiejszych. Po „Chowannie" (1970) i wyborze innych pism filozoficznych (1974) nadszedł wreszcie czas na ogłoszenie drukiem, w doskonałym polskim tłumaczeniu (będącym zasługą Michała Żułkoś-Rozmaryna) również i wczesnych, niemieckich prac Trentowskiego. Ukazały się one w Bibliotece Klasyków Filozofii pod ogólnym tytułem: B. F. Trentowski: „Podstawy filozofii uniwersalnej. Wstęp do nauki o naturze" w Państwowym Wydawnictwie Naukowym (1978), poprzedzone — podobnie jak i obie wcześniejsze, wspomniane przed chwilą edycje — znakomitym wstępem A. Walickiego. Obszerny ten tom — liczący około 900 stron druku — nie jest z pewnością lekturą „łatwą i przyjemną" dla szerokiego kręgu czytelników, zwłaszcza tych, którzy pasjonowali się utrwalonymi nie tylko na ekranie telewizyjnym, ale i (niestety) na drukarskim papierze przygodami imć pana dziennikarza Maja. Dobrze jednak, że gdzieś tam ocalała jakaś resztka tak cennego dzisiaj papieru, by ukazał się również i ten tom, jakże ważny dla pogłębienia naszej znajomości polskiej tradycji filozoficznej XIX stulecia. Polska seria Biblioteki Klasyków Filozofii wzbogaciła się o pozycję rzeczywiście znaczącą, którą nie raz wypadnie nam brać do ręki.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

Nie tylko o Ziębie...

Jeszcze nie obowiązują tu przepisy o ruchu drogowym. Samochodziarz przyzwyczajony do pierwszeństwa może zostać zaskoczony, bo oto z bocznej drogi, właściwie z kurzawkowego pobocza, wyjeżdża ci nagle pod nos wywrotka, powiedzmy PTA-157L i gdybyś w porę się nie spostrzegł staranowałaby ciebie, przybłędę na wielkiej budowie.

I kąpiel w gęstwinie pyłu zdaje się na nic, bo okazuje się, że dalsza droga, owszem, jest przejezdna, ale dla masywnych wywrotek. Twój ułomny pojazd osobowy dobry w alei Kościuszki na Marszałkowskiej, czy na drodze szybkiego ruchu między Warszawą a Katowicami, ugrzązłby tu w półmetrowych koleinach. Nie dobrąłbyś do dyrekcji Bełchatowskich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil" w Budowie.

Ale! Co ma guma, „Stomil", wspólnego z węglem brunatnym!? O tym potem. A teraz w tył zwrot i zgodnie z instruktażem napotkanych życzliwych budowniczych: *do bramy, jak pan wjechał, z powrotem do nowej drogi wiodącej do Elektrowni Rogowiec w Budowie, aż do szosy w kierunku Bełchatowa i w lewo w las, i po takich lotniczych płytach dojedzie pan pod samą dyrekcję*".

Zalecony manewr wykonałem, bezkolizyjnie do końca tych lotniskowych płyt dotarłem...

Dyrektor Stanisław Biela, dzień wcześniej telefonicznie umówiony, już czekał. Nie, nie jest wcale zmęczony. Owszem, upały w czerwcu, będące przedłużeniem niespotykanych letnich upałów w maju, dają się we znaki. Ale on nie z tych szybkich do zmęczenia. Kiedyś przestraszyli go złym zapisem EKG, to kupił sztangę i dawaj podnosić ciężary, dc siódmych potów. A kiedy tylko choć parę dni urlopu — wyprawa w Tatry. Teraz z samiuteńkiego rana ostre spacery z psem po tutejszych lasach, które zewsząd otaczają budowę fabryki taśm przenośnikowych (to jest ta guma!)...

— *I pali pan, dyrektorze... To już drugi papieros w ciągu kilku minut* — zauważam z wyrzutem.

— *A palę* — odpowiada — *i więcej niż osiem godzin na dobę pracuję* — dodaje — *i trzydzieści już lat jestem dyrektorem...*

Dyrektor Biela przygotował dla mnie rozmówcę. O nim samym, Bieli, *do prasy więcej ani słowa.* Nie lubi tego. Może zanim fajny człowiek przyjdzie, tylko tak prywatnie: Stanisław Biela, lat 55, dziewięć lat był robotnikiem, trzydzieści, jak powiedzieliśmy, dyrektorem. Więc to czterdziesty rok pracy zawodowej! A po drodze był papier, celuloza, guma, znów papier, znów guma. I szkoła średnia, i wyższe studia ekonomiczne, jest magistrem ekonomii... Niedługo dni wolne od pracy, to zabierze trochę swoich ludzi z budowy i w góry! Poprowadzi ich na Orlą Perć Tak, jest góralem! Dawno powinienem był się tego domyślić.

— *Ha, ha!* — śmieje się szczerze człowiek — o smagłej twarzy, człowiek, który — jak się później dowiedziałem — potrafi opieprzyć, nawet czasami zmieszać z błotem, ale sprawiedliwe. I potrafi tak samo szczerze, życzliwie dać szansę rehabilitacji. Człowiek się poprawia, widać, że się zreflektował, to on juz tego, co zaszło, nie pamięta...

— *Edziu, przekazuję ci gościa* — powiada dyrektor Biela do innego, masywnego mężczyzny, który właśnie wyłonił się zza moich pleców.

* * *

Nie, nie pójdziemy do biura, w którym, kiedy obiegnie swoje podległości, zasiada inżynier Edward Zięba. Siadamy na ławeczce z palików i zwykłych desek, na ławeczce-rówieśniczce całego tego stomilowskiego gospodarstwa, powstającego dokładnie od dwóch lat. Bo dyrektor Biela przyjechał tu 1 maja siedemdziesiątego siódmego, a on, Zięba, z kilkoma innymi pionierami dwa tygodnie później, pierwszego czerwca.

— *To dzisiaj mamy drugą rocznicę* — odkrywamy obaj.

Mieszany las brzozowo-sosnowy zalega upałem i pośpiewem ptaków. Słoneczny żar jakby stał tu omdlały. Jednak to omdlenie zdaje się cucić odgłos idący z budowy, na którą właśnie patrzę. Setki metrów jaskrawoniebieskich ścian ogromnych hal przyszłej wytwórni taśm przenośnikowych. Z tej rażącej niebieskości uciekam wzrokiem w orzechową spokojność pobliskiego domku kampingowego, na którego tle siedzi właśnie barczysty mężczyzna, mój przyszły przewodnik po budowie. Inżynier Zięba, jakby z tym moim spojrzeniem wiązał pytanie, powiada:

— *Niczego nie było, żadnego zaplecza. Las, karczowisko i piachy. Ponieważ mam uprawnienia budowlane, zacząłem z tymi pierwszymi te domki stawiać. Ale budowa wyprzedziła przyzwolenie z województwa, więc ledwo mnie wybronili przed sankcjami za „dzikie budownictwo" Mieliśmy za to gdzie spać, jeśli się po wielogodzinnym grzebaniu w ziemi nie opłacało wracać do Bełchatowa. I sypialiśmy pokotem na podłodze. Wodę dowozili nam beczkowozami, a jedliśmy co się dało, rzadko się coś ugotowało na miejscu. Dzisiaj już wielu, jak ja, mieszka z żonami. W Bełchatowie w hotelu, albo tu, nadal po cygańsku. Moja żona jest kierownikiem magazynu surowców i wyrobów gotowych, przyjechała za mną z Wolbromia. Bo my z dyrektorem Bielą razem pracowaliśmy w Wolbromskich Zakładach Przemysłu Gumowego „Stomil". Za dyrektorem przyjechał też Eugeniusz Haberka, którego tu obdarzyliśmy zaufaniem, wybierając pierwszym sekretarzem OOP. Mamy tylko oddziałową organizację partyjną. Oczywiście z czasem, kiedy załoga liczyć będzie zgodnie z planem, przy pełnym biegu fabryki, 700 ludzi, a nie jak obecnie 250, będzie własna POP.*

— *Dzieci?*

— *Już dorosłe, samodzielne* — odpowiada inżynier Zięba, a widząc w moich oczach niedowierzanie, wyjaśnia, że po prostu młodo się ożenił. — *Syn ma już 25 lat i jest technikiem mechanikiem, pracuje w kolejnictwie w Strzemieszycach, o cztery lata młodsza córka jest pielęgniarką, także pozostała na południu Polski, skąd pochodzimy.*

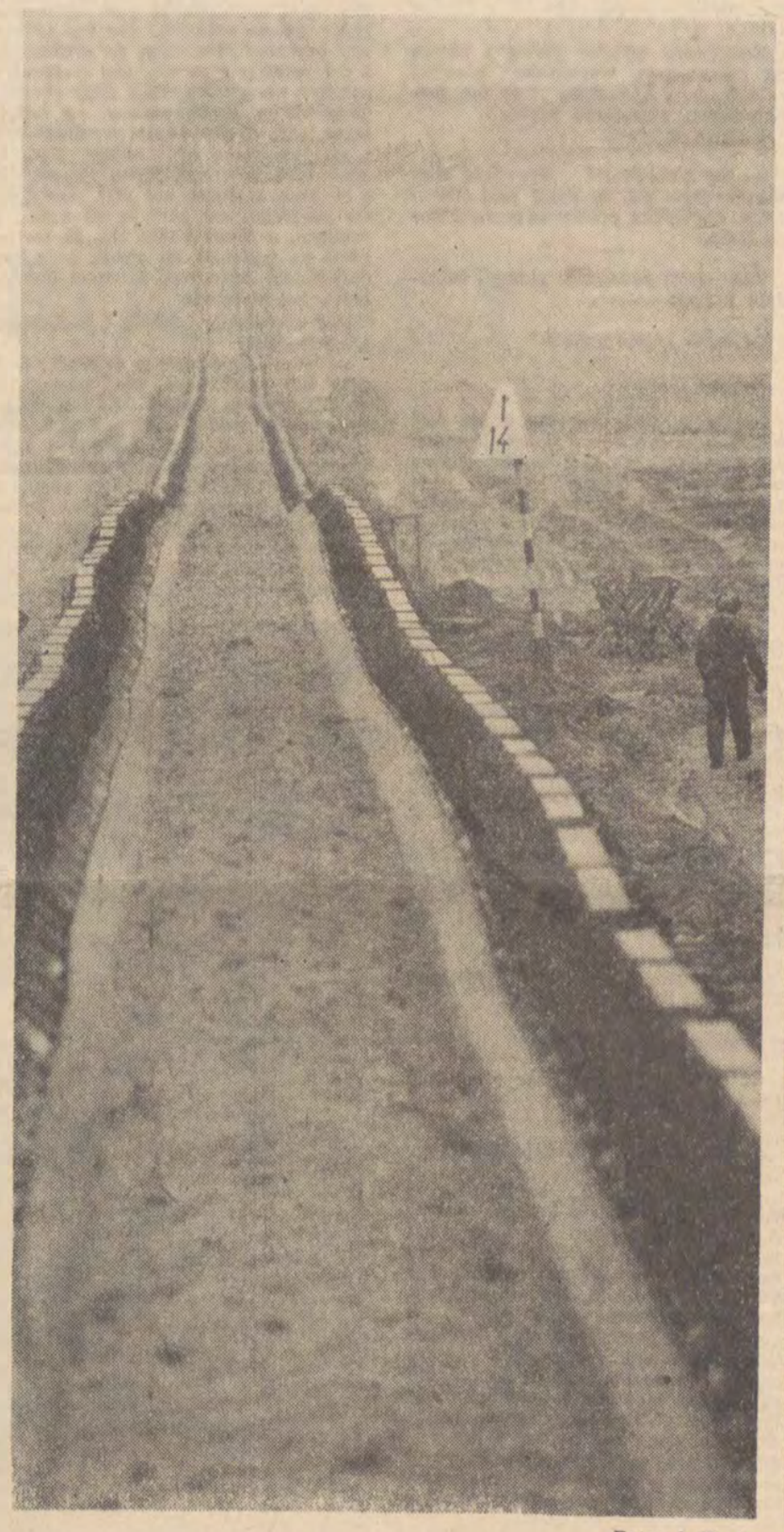

Foto: A. Wach

W pięćdziesiątym pierwszym, jako świeżo upieczonego technika budowlanego Edwarda Ziębę, skierowano nakazem pracy do huty cynku „Bolesław" koło Olkusza. Tam przepracował sześć lat i w pięćdziesiątym siódmym znalazł się w wolbromskim „Stomilu". Po wielu latach były Czechowice-Dziedzice, tak, ta słynna na cały kraj inwestycja i znów Wolbrom, w międzyczasie studia zaoczne na AGH, a teraz środek Polski — Bełchatów...

* * *

Ilu ich było na początku? Przez pierwsze pół roku zaledwie dwudziestu. Tworzyli bazę, jeździli do Piotrkowa. I technicy, i inżynierowie, jak on, Zięba, rozładowywali na *trybunalskiej* stacji towarowej wagony pełne przeznaczonych dla nich skrzyń, a w skrzyniach zagraniczna maszyneria potrzebna po to, by wreszcie w Polsce produkować taśmy przenośnikowe. Na każdej skrzyni inny znak: trójkąt, kwadrat, kółko. Od pradziejów figury geometryczne, co jasne jak słońce, mają swoje znaczenie. Tu zdarzało się, że w porę nie odczytano tych znaczeń, a chodziło o to, że jedne skrzynie mogły stać pod gołym niebem byle przykryte, inne wymagały ocieplenia...

Ocieplenia! Łatwo powiedzieć.

Co wiedzą o tym ci, którzy przyszli na budowę ostatnio? Choć ci, którzy już przetrwali minioną zimę, przeszli nie byle jaki chrzest bojowy...

Mijamy wyłaniającą się dopiero budowlę, właściwie dopiero wyjście z fundamentów. To ma być stołówka. Miano ją dawno oddać. Teraz powiada się, że potrzebne inne inwestycje zapleczowe. Więc szczupła jeszcze stomilowska załoga nie czeka. Robią sami co mogą, także z zakresu prac instalacyjnych, tynkarskich. Moto-Przem Łask — główny wykonawca, którego to jakość robót przedstawia wiele do życzenia, podwykonawcy: ŁPIP „Instal", „Inżynieria" Łódź, wykonujący roboty instalacyjne, są sprawcami wielu terminowych zagrożeń. Z satysfakcją mówi się natomiast o „Elektromontażu" i Mostostalu z Będzina z mgr inż. Surowcem, bardzo ofiarnym, który jak i jego ludzie, nie cierpi opóźnień i nawalanki.

„Energoblok" zawalił wykonanie na czas wytwórni pary technologicznej. Stomilowcom opadły ręce. Marzyli przecież, by w połowie 1979 roku uruchomić pierwszą produkcję, a tu mróz uderzył... Ręce stomilowcom opadły, ale na bardzo krótko. Ktoś wpadł na prawie genialny, jak na warunki, a i prosty w końcu pomysł. Na Śląsku widziano dwa bezużyteczne parowozy. Sprowadzić je i przystosować na wytwórnię par! — zapadła decyzja.

Sprowadzili parowozy. Kiedy surowa zima paraliżowała wszystko — one uratowały budowę fabryki taśm przenośnikowych w Rogowcu. Brygada mistrza Trzaskowskiego, opiekująca się wytwórnią pary technologicznej, czyli stojącymi parowozami, kierowała wężowym rurociągiem strumienie pary, podgrzewając tym sposobem zlodowaciały piasek, czy żwir, a także miejsca pod betonowe fundamenty. Ciepło „weszło" na hale, w których trzeba było przygotowywać instalowanie zagranicznych urządzeń.

Pomysłodawcy i wykonawcy własnej, choć na pozór tylko cudacznej wytwórni pary technologicznej, zacierali ręce. Ten i ów szukał ciepłych słów wobec parowozów, które dziś, w słońcu stoją jak zasadnie zadowoleni z siebie pionierzy. Ktoś, jako że parowozy pochodziły z wojennego demobilu, rzucił mimochodem: *nasze trumany.* I tak w Rogowcu na budowie stomilowskiej fabryki niewinne powiedzonko *trumany* przylgnęło, wymawiane z ciepłym zabarwieniem, kiedy dla nas nazwisko pisane tak samo, lecz z dużej litery, jeśli już, jest raczej chłodno wymawiane, bo w najnowszej historii dotyczy początków zimnej wojny i agresji w Korei...

Więc inżynier Zięba ma za złe Tadeuszowi Ceglarskiemu, reporterowi *Tygodnika Piotrkowskiego,* że opublikował opowieść o *trumanach.*

— *Nie jest tak źle* — *pisał ten reporter, gdy akurat trafił tu, a zimno było jak cholera, kiedy nasi gorącą kiełbasę z garnka wyciągali i dziennikarza nią poczęstowali.* A poczęstowali, bo gościnni. Ale ta kiełbasa na gorąco, to wcale taka częsta strawa w te mrozy nie była. A w artykule było kolorowo, że wszystko pod względem aprowizacyjnym fajno. — *A wie pan* — powiada inżynier Zięba — *że kiedy nas tu śniegiem zasypało, to i jedenaście dni nie było dowozu chleba? I nie wszyscy do Bełchatowa wracali? Wielu, co rozumiało potrzebę dotrzymania terminu oddania fabryki, wśród nich dyrektor Biela, tkwili wśród lasu i metrowych zasp, czuwając nad właściwym rytmem budowy...*

* * *

Stoimy w potężnej hali. Pełną parą montuje się tu erefenowskie urządzenia. Inżynier Zięba zatrzymuje przechodzącego młodego człowieka, o rogalowym, czarnym wąsie i torsie spalonym na brąz.

— *Jak idzie?*

— *Przyglądam się, patrzę im na ręce, jak co robią...* — powiada zagadnięty.

— *Ty nie masz patrzeć, ale robić razem z nimi. Krok po kroku. Jakbyś tak powiedział Staremu, to by ciebie porządnie ochrzanił...*

Przyglądam się hali. Stumetrówkę łatwo by tutaj odwalić. Jestem zdania, że nawet dłuższy dystans. Inżynier Zięba i towarzyszący nam młody inżynier Mortas liczą według słupów-wsporników. Wypada o wiele więcej niż 150 metrów. Takiego dystansu na olimpiadzie nie ma, ale też tu odwalać się będzie nie sprinty, a taśmy przenoszące brunatny urobek na bardzo długie dystanse.

W miesiącu czerwcu z okazji 35-lecia narodzin Polski Ludowej na pięć miesięcy przed terminem, wyprodukują już pierwszą taśmę i to będzie wielkie święto po dwóch latach, t y l k o po dwóch latach budowy i zagospodarowywania fabryki. Plan na rok bieżący przewiduje wykonanie 17 kilometrów taśm tak w Bełchatowie potrzebnych. Ale i gdy rozruch będzie pełny (140 km taśmy) taśma transportowa tu produkowana, zabezpieczy Bełchatów i wesprze inne kopalnie odkrywkowe w kraju.

To jest główna idea: a n t y i m p o r t. Nie stać nas na sprowadzanie taśm przenośnikowych, za które za granicą każą sobie płacić po 300 dolarów za metr bieżący.

Udało się przyspieszyć uruchomienie podstawowych wydziałów, aktualnie: konfekcji i wulkanizacji taśm. Kończą montaż elektrycy, a zakończenie ich prac jest niezbędne dla całości funkcjonowania fabryki.

Robią swoje montażyści erefenowscy, robią dwaj Włosi, robi trzech Anglików, z którymi ma jeszcze z Sanoka swoje porachunki mgr inż. Andrzej Kowalski, przybyły do Bełchatowa wraz z żoną. Naciskał ich, gdy pracował z firmą Howe Richardson z Nottingham właśnie w Sanoku. Teraz oni tu łowią co się tylko da, by naszych przyłapać na niedotrzymaniu jakiegoś terminu, czy choćby drobiazgu, który by kolidował z umową.

Podchody trwają. Jak na razie bez obustronnych strat, i dobrze. Ażeby się nie dać, inżynier Kowalski wypisał w swoim gabinecie hasło, widniejące na ścianie, trochę zaskakujące w pierwszej chwili: *Jutro jest wrogiem Polski!* Swoi wiedzą o co chodzi. Że nie mów jutro — zrób to dzisiaj. O to właśnie chodzi. Dlatego chyba nie dają się nie tylko Anglikom...

Do tych, którzy się nie dają, należą tacy jak Kowal — mistrz w swoim zawodzie, Ryszard Kumor, tokarz pierwszej klasy z warsztatu mechanicznego — Stefan Nita, spawacz elektryczny Henryk Łuszczyk. Należą także młodzi, a wśród nich przede wszystkim inżynierowie, stosunkowo niedawni absolwenci naszych uczelni politechnicznych, wśród nich i Politechniki Łódzkiej, już po stażach poprzedzających przyjście ich do Bełchatowa. Są to mgr inż. Jerzy Mortas (też z Wolbromia za dyrektorem Bielą przyszedł rok temu), mgr inż. Krzysztof Rawicki. Bardzo wiele zdziałały siły podległe głównemu energetykowi — mgr inż. Jerzemu Galeszczykowi, czy kierownikowi Wydziału I — inż. Mirosławowi Sujce. Technik Aleksander Marczewski, kierujący grupą ofiarnych ludzi, automatyków, cieszy się jak poprzedni, ich autorytetem więc nie marnotrawią czasu, co jak tutejszy sypki bełchatowski piach przecieka między palcami. Przy montażu walcarek wyróżnili się podkomendni młodego inżyniera Jana Wybana i oczywiście on sam...

* * *

Nie opodal pawilonu dyrekcji Bełchatowskich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil" góruje ponad lasem hala balonowa w żółto-niebieskie pasy. To właśnie obiekt, który uchronił drogocenne przesyłki zagranicznych urządzeń przed słotami i mrozami.

— *Z aktywem, z dyrektorem Bielą* — powiada inżynier Zięba — *rozważamy: hala sportowa to będzie dla załogi, czy też kryta pływalnia...*

I dochodzimy do tematu ogólnopolskouniwersalnego: m i e s z k a n i a.

— *Siedemset ludzi plus ich rodziny... Pan rozumie, co to znaczy* — wyraźnie ekscytuje się problemem jeden z pierwszych budowniczych bełchatowskiego „Stomilu" — *Ludzi, którzy już tu są, zakwaterowano gdzie się dało. Ciągle wielu bez rodzin pozostawionych w świecie. Przekazywanie przewidzianych dla nas mieszkań się przeciąga. Co się da wykańczamy własnymi siłami, ale postęp w tym zakresie musi być bardziej wyraźny. Na Stoku budujemy hotel pracowniczy. Hotel — wiadomo: mieszkania tymczasowe, rotacyjne. W hotelu typu „Berlin" dyrekcja nasza ma najbardziej potrzebną kadrę, tę właśnie już zasłużoną, sprawdzoną i czekającą na mieszkania. „Berlin" chcemy przeznaczyć na miejsce zakwaterowania OHP. Pan wie jak to z pracownikami dzisiaj. Prawie pół tysiąca ludzi trzeba wdrażać do ciekawego, ale dla nich zupełnie nowego zawodu — budowniczych p o l s k i c h taśm przenośnikowych...*

Żar cieknący z nieba coraz dotkliwszy. Samo południe. Koszule na grzbietach są jak pancerze...

Chciałem, słowo daję, jak najwięcej dowiedzieć się o inżynierze Ziębie — jednym z pierwszych tu i wypróbowanych. Nie wyszło. Kiedy ja o nim, on ciągle o innych, o problemach bełchatowskiego „Stomilu", o budowie, która wznosi się w cieniu ogromnej kopalni węgla brunatnego i potężnej elektrowni i potrzebna jest krajowi jak one.

JAN B. FABISIAK

SPOTKANIE Z ALIM I BIBI CHANYM

W chajchanie jestem jedynym Europejczykiem. Wokół las czarnych tiubitiejek wyszywanych białymi nićmi w charakterystyczne wzory. To Uzbecy. Po kolorze, wzorze i kształcie można rozpoznać narodowość właściciela, lecz jeszcze niezbyt biegle potrafię się w tiubitiejkowym gąszczu rozeznać, bo w samarkandzkiej oazie mieszkam dopiero drugi dzień. Wiem jedynie, że tiubitiejka panny jest bardzo kolorowa i wzorzysta. Dawniej były one bogato szamerowane i wyszywane złotymi i srebrnymi nićmi, ozdabiano je nawet kamieniami szlachetnymi. Dziś złoto imitują kolorowe nitki, ale i tak są one piękne.

W chajchanie brak nawet jednej kolorowej. Ani jednej kobiety. Wschodni surowy obyczaj jest przestrzegany, szczególnie przez starszych mieszkańców. Państwo radzieckie nie zabrania wyznawania islamu, ale Koran zabrania kobietom publicznego pokazywania się.

Dlatego w Taszkiencie nie wydziwiałem już, gdy na dansingu, w eleganckiej restauracji, męskie pary oddawały się urokowi tańca. Uzbekistan jest dla przybysza z Europy ogromnym zaskoczeniem. Dopiero bliższe poznanie Wschodu, jego historii zmienia radykalnie poglądy i spojrzenie.

Mój samarkandzki znajomy ze swadą i wielkim zacietrzewieniem usiłuje mi przybliżyć tajemnice Wschodu. Ali Hankim jest studentem trzeciego roku budownictwa. Doskonale zna przeszłość swego kraju. Odsłaniając mi jej tajniki, dostaje wypieków na twarzy i błyszczą mu oczy.

WYKŁAD ALEGO O HERBACIE

Od stuleci pije się na Wschodzie dwa rodzaje herbaty: czarną i zieloną. Czarny i zielony czaj czyli kok-czaj. Nasiona i tajemnicę parzenia kok-czaju wykradziono swego czasu Gruzinom, co nie przeszkadza, że stał się on tutaj napojem narodowym, powszechnym i czczonym. Na dobrą sprawę płyn w mojej filiżance bardziej się żółci niż zieleni, ale może to być wynikiem fuszerki dyżurnego kucharza czajchany, więc siedzę cicho, koloru nie poddaję w wątpliwość i słucham uważnie.

— *Otóż* — mówi Ali — *Avicenna, wielki uczony i pierwszy chirurg na świecie, podzielił kuchnię Wschodu na dwie części: gorącą i zimną. Do kuchni gorącej zaliczył czarną herbatę o rozgrzewających właściwościach, zalecaną więc zimą do picia, a do kuchni zimnej włączył herbatę zieloną mającą własności ochładzające. Od stuleci więc pije się na wschodzie czarny czaj zimą, a zielony latem.*

Do lata co prawda daleko, ale w mojej filiżance żółci się zielona herbata, bo choćby była najsroższa zima, muszę zaspokoić ciekawość polskiego żołądka i sprawdzić przy tym prawdziwość opowiadania mojego samarkandzkiego cicerone. Rozglądam się i usiłuję dojrzeć kolor płynu wypijanego przez mężczyzn w kolorowych chałatach i czarnych tiubitiejkach, ale jest ona taka jak w filiżance Alego — brunatna, a więc czarny czaj.

Samarkandzie stuknęło już przeszło dwa i pół tysiąca lat, jest więc rówieśnikiem Rzymu i wiele jest tu do obejrzenia: „Registan, czyli „piaszczyste miejsce", dawne centrum rzemieślniczo-handlowe słynny zespół architektoniczny Szach i Zinda ze świętym grobem kuzyna Mahometa-Kussama ibn Abbasa, obserwatorium astronomiczne Uług Bega, mauzoleum Gur Emir zbudowane na polecenie Timura dla ulubionego wnuka Muchammeda Sułtana, mającego być następcą wielkiego wodza.

Mój przewodnik postanowił, że najpierw zwiedzimy drugi co do wielkości i wspaniałości meczet Bibi Chanym. Poeci mówili, że gdyby gwiazdy na niebie przestały świecić, kopuła meczetu mogłaby je zastąpić. Ali ma do tej budowli szczególny sentyment, bo na praktykach studenckich produkował płytki kolorowo glazurowane, użyte do restauracji zabytku. Meczet jest odnawiany, ale mocno znać na nim ząb czasu. W 1968 roku rząd radziecki podjął decyzję o renowacji budowli.

PŁYTKI ALEGO

Meczet, zajmujący powierzchnię 130 na 102 metry, wysoki na sześć pięter, budowano niecałe pięć lat. Rozpoczęto go w 1399 roku, a ukończono w 1404. Podchodzimy blisko rusztowania. Dotykam dłonią zielono-żółto-biało-granatowych płytek. Są chłodne. Zastanawiam się, czy kładła je ręka piętnastowiecznego niewolnika, czy radzieckiego robotnika z dwudziestego wieku?

— *Być może to ja ją wykonałem* — powiada Ali, jakby domyślał się moich wątpliwości.

Meczet Bibi Chanym miał być budowlą najpiękniejszą z najpiękniejszych. Jego świetność miała przyćmić wszystko co dotychczas stało na fundamentach. Meczet miał być jak jego pan Tamerlan: wielki, potężny i wspaniały. Dwustu najlepszych i najzdolniejszych w ówczesnym świecie artystów, architektów ściągniętych na rozkaz Tamerlana do Samarkandy wnosiło w budowlę swój trud i talent. Pięciuset rąbało marmur w górach Pendżykentu. Tysiąc innych potem zraszało rusztowania. Budowa jeszcze nie była ukończona, gdy wielki wojownik wyruszył na kolejną, zwycięską wyprawę wojenną. Po powrocie pyszniła się majolikowymi mozaikami. Wsparta na dumnych marmurowych kolumnach żółciła się złotem religijnych cytatów Koranu. Olśniewała bogactwem ornamentów.

Ale władcom trudno jest dogodzić. Timur, niezadowolony i gniewny na — jego zdaniem — partactwo, wydaje rozkaz ścięcia możnowładców kierujących budową. Spadają odrąbane mieczem głowy Chodży Machmuda Dawida i Muchameda Dżelda.

Nie tylko Timurowi, ale i Allachowi meczet nie przypadł do gustu, bo wkrótce trzęsienie ziemi poważnie naruszyło architektoniczną wspaniałość. Jeden z poetów uzbeckich tak przemówił do meczetu:

— *Słyszałem, meczecie, że zbudowano cię za skarby zdobyte przemocą i niesprawiedliwością? Chwała więc Allachowi, że nie darzy cię uczuciem kobiety karmiącej swe dzieci, a przeznaczeniem nierządnicy. Gore ci.*

Ali oddala się na chwilę, by przynieść i podarować mi na pamiątkę kilka ceramicznych płytek. Zostaję sam, gdy nagle spod kopuły dobiega głęboki pomruk:

— *To nieprawda.*

Zadzieram wysoko głowę i patrzę na nadwątlone, wspaniałe niegdyś sklepienie. Prześwituje przez nie jasnobłękitne wschodnie niebo.

I znów pomruk:

— *To nieprawda! Opowieść tego niewiernego ma w sobie tyle kłamstwa, ile ziaren piasku na pustyni Kara Kum.*

Zadzieram powtórnie głowę i ostrożnie pytam:

— *A jak brzmi prawda?*

Kopuła mruczy:

— *To ja, Bibi Chanym, a nie mój mąż Timur lub Saraj Mulik Chanym, jak kłamią wasze książki historyczne, wzniosłam ten meczet. Saraj była najstarszą żoną Timura, była brzydka i pomarszczona jak stara cytryna, nie kochała męża i bała się go. Ja uwielbiałam go i byłam najmłodszą jego żoną.*

Wiem, że Bibi Chanym istniała tylko w legendzie, więc pytam ostrożnie:

— *Więc jak było naprawdę, księżniczko? Istniejesz w legendzie czy żyłaś naprawdę?*

— *Istniałam naprawdę... w legendzie* — naburmusza się piękność.

Oto odpowiedź godna kobiety z krwi i kości. Przewrotność jej słów przekonuje mnie całkowicie. Tam, do licha, istniała naprawdę, tylko w legendzie. Tak mnie zaciekawia, że proszę:

— *Opowiedz mi swoją historię, krasnolica Bibi Chanym.*

Kopuła mruczy pogodnie:

— *Dobrze. Słuchaj więc cierpliwie i ucz się cudzoziemcze.*

OPOWIEŚĆ BIBI CHANYM

— *Byłam chińską księżniczką i miałam siedemnaście lat, gdy Timur Zdobywca zatrzymał na mnie swój wzrok. Powiedział mi, że moje oczy mają kształt migdałów i palą się jak dwa żarzące węgle, usta mają smak boskiego rachatłukum, a ciało jak polerowany marmur z góry Pendżykentu. Zostałam jego żoną. Kochałam go, bo był wielki i potężny. Jednym skinieniem ręki słał mi do stóp całe królestwa. Był czuły, delikatny i mądry. Dla mnie był piękny i nie widziałam jego kalectwa. Gdy wyruszył na kolejną wyprawę wojenną, postanowiłam sprawić mu niespodziankę i wybudować wielki, wspaniały meczet, godny jego sławy.*

Wezwałam do pałacu najlepszych i najzdolniejszych mistrzów budownictwa z Samarkandy i poleciłam wzniesienie meczetu. Poleciłam, by przyćmił krasą dotychczas istniejące wszystkie budowle świata. Praca szła szybko i mury rosły jak bambus w moim panieńskim ogrodzie. Codziennie doglądałam roboty i przynaglałam głównego architekta. Ale im bliżej było ukończenia prac, tym mniej skwapliwie wykonywał on polecenia. Spostrzegłam, ku swojemu przerażeniu, że wpatruje się we mnie jak słowik w księżyc i celowo przedłuża prace budowlane. Wtedy do pałacu dotarła wiadomość, że mój mąż, Tamerlan Wielki, wraca.

I wtedy, cudzoziemcze, stanęłam na skraju szaleństwa. Architekt postawił warunek: „meczet będzie gotów na czas, gdy ty, piękna Bibi Chanym, podarujesz mi... pocałunek".

Śmiałość i bezczelność architekta tak mnie oburzyła, że powzięłam decyzję ścięcia śmiałka. Ale kto ukończy budowę? Wróciłam do architekta i powiedziałam — nie, nie otrzymasz mojego pocałunku, lecz jeśli chcesz, podaruję ci najpiękniejszą z moich niewolnic. Czemu mnie prześladujesz i patrzysz tylko na mnie? Spójrz, obok leżą kolorowe jajka. Są piękne i barwne, a żadne nie jest podobne do drugiego, ale weź je do ręki i roztłucz, a wnet okaże się, że wszystkie są podobne do siebie i mają jednakową zawartość. Z nami, kobietami, jest podobnie.

Ale architekt, młody i porywczy, odpowiedział:

— Twoja opowieść o jajkach jest piękna i pouczająca, lecz posłuchaj, co ja powiem. Spójrz na dwa dzbany stojące opodal. Jeden z nich napełnij wodą, a drugi białym szlachetnym winem. Dzbany zewnętrznie nie różnią się niczym, lecz przybliż usta do pierwszego i poczujesz tylko smak i chłód wody. Popróbuj teraz zawartość drugiego dzbana i wnet poczujesz jak krew rozpali się pożądliwym ogniem. Taka też jest różnica między najpiękniejszą nawet niewolnicą a tobą, piękna Bibi Chanym. Taka jest miłość.

Oburzona odeszłam do swych komnat, tymczasem Timur z wojskami zbliżał się już do wrót Samarkandy. Cóż począć? Zdecydowałam się. Jeśli mu tak zależy na pocałunku, niech mnie pocałuje, ale tylko jeden raz i tylko w policzek. Ostatecznie pocałunek w policzek jest niewinny, a architekt młody i piękny. Wyznaczyłam spotkanie. I wtedy stało się najgorsze. Gdy architekt zbliżał usta do mojej twarzy zawstydziłam się w ostatniej chwili zasłoniłam twarz poduszką. Na próżno. Żar płynący z ust młodzieńca był tak straszny, że przeniknął zasłonę i wypalił na policzku pąsowe znamię. Uciekłam do komnat.

Gdy po kilku dniach mąż stanął u wrót miasta, przed jego oczami pyszniły się kopuły meczetu przyćmiewające blaskiem rozgwieżdżone niebo. Ale jego radość była zmącona. Zawistna Saraj Mulik Chanym doniosła mu o mojej zdradzie. Mimo iż przyznałam się, opowiadając całą prawdę, Timur wpadł w straszny gniew. Na jego rozkaz strażnicy rzucili się w poszukiwaniu nieszczęsnego młodzieńca. Ale on, przeczuwając nadchodzące nieszczęście, skrył się wraz ze swymi uczniami na szczycie minaretu. Kiedy ścigający ich strażnicy wbiegli tam po wąskich, krętych stopniach, zastali tylko jednego z uczniów. Na pytanie — gdzie nauczyciel? odpowiedział:

— Mistrz sporządził sobie drewniane, latające skrzydła i odleciał na zachód.

Spod kopuły dochodzi mnie głębokie westchnienie. Domyślam się, że to koniec opowieści. Żegnaj, piękna i wierna Bibi Chanym.

Wracamy z Alim autobusem do hotelu. Wpatruję się na przemian w podarowane, kolorowe płytki i w dziewczyny w autobusie. Sam już nie wiem, czy mam je porównywać do kolorowych jajek czy dzbanów napełnionych winem i wodą.

Foto: A. Wach

ANDRZEJ BLAJER

DIALOG BIEDNYCH

W dniach od 7 maja do 1 czerwca bieżącego roku odbywała się w Manili piąta konferencja Narodów Zjednoczonych d.s Handlu i Rozwoju, UNCTAD V, której zasadniczym celem była kontynuacja dialogu między krajami rozwijającymi się a państwami uprzemysłowionymi odnośnie wypracowania formuły nowego światowego ładu gospodarczego. Debaty toczące się już od kilku lat na osi Północ — Południe i mające przyczynić się do zbliżenia oraz ustalenia stanowisk w najróżniejszych ugrupowaniach (EWG, OECD, organizacje krajów latynoamerykańskich, azjatyckich, afrykańskich, Grupa 77) co do tej kwestii, ogniskowały się tym razem m. in. wokół następujących trzech problemów: realizacji tzw. zintegrowanego programu surowcowego i utworzenia Wspólnego Funduszu Surowcowego, zwalczania protekcjonizmu oraz intensyfikacji transferu zasobów jako instrumentu ogólnoświatowej polityki wzrostu gospodarczego i zatrudnienia.

Chociaż na wyciąganie ostatecznych wniosków jest jeszcze za wcześnie, to na podstawie oceny przebiegu obrad i wstępnych wyników konferencji można już obecnie stwierdzić, że podobnie jak poprzednie forum w Nairobi w 1976 roku, nie wniesie ona tak istotnego wkładu jak oczekiwano w dzieło tworzenia podstaw nowego międzynarodowego porządku ekonomicznego. Nie pozwala na to bowiem natura owego dialogu, uniemożliwiająca pokonanie bariery jałowości dyskusji — w rezultacie — UNCTAD nadal prawdopodobnie pozostanie niestety tym, czym jest od kilkunastu lat: ezoteryczną machiną produkującą rezolucje i dokumenty, o których wprowadzenie w życie nikt się właściwie nie troszczy.

Nie oznacza to oczywiście, że nie obserwujemy nadciągania nowego światowego ładu gospodarczego. Cechuje się on rosnącą rolą krajów rozwijających się w międzynarodowym systemie gospodarczym — z jednej strony szczególnie krajów naftowych, a z drugiej nowych krajów uprzemysłowionych, jak Brazylia, Tajwan lub Korea Południowa. Przybierająca obawa krajów wysoko rozwiniętych przed konkurencją państw rozwijających się jest chyba najdobitniejszą oznaką coraz większej roli tych ostatnich w ekonomice światowej.

Od czasu konferencji UNCTAD I w 1964 roku kraje rozwijające zespoliły się w tzw. Grupie 77, która dzisiaj obejmuje 119 państw. Celem tego ugrupowania było początkowo wypracowanie wspólnego stanowiska na konferencjach UNCTAD. Szczególnie jednak od VI Specjalnej Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ wiosną 1974 roku kraje rozwijające się miały nadzieję, że przez zorganizowany nacisk polityczny wymuszą korzystne dla siebie doniosłe zmiany w gospodarce światowej. Przykład OPEC unaoczniał możliwości uzyskania szeregu innych korzyści drogą presji politycznej jak chociażby wzmożony transfer zasobów przez zwiększenie pomocy ekonomicznej, umorzenie długów lub wzrost cen surowców.

Nie uwzględniono jednak faktu, że przykład podniesienia cen ropy naftowej nie da się przenosić dowolnie na inne dziedziny. Nie doszło również do reorganizacji międzynarodowego systemu walutowego odpowiednio do postulatów krajów rozwijających się, by istniała zależność między pomocą rozwojową a specjalnymi prawami ciągnienia (SDR), których udział w światowych rezerwach walutowych w ostatnich latach malał. Także w dziedzinie polityki surowcowej nie osiągnięto żadnych istotnych wyników. Nie doszło do indeksacji cen surowców według cen wyrobów przemysłowych. Nie było przełomu przy zawieraniu porozumień surowcowych (od 1974 roku nie zawarto żadnej umowy tego typu). Nie pojawiły się również skutecznie funkcjonujące kartele producentów na wzór OPEC. Wspólny Fundusz Surowcowy — jako centralny mechanizm sterowania rynkami surowcowymi — z uwagi na jego obecną wysokość (750 mln dolarów) pozostanie raczej nadal w sferze marzeń pomimo osiągniętego kompromisu. Jednocześnie zaś wobec zaostrzających się trudności gospodarczych krajów uprzemysłowionych oraz związanych z tym silnych nacisków wewnątrzpolitycznych nie zrealizowane zostało zobowiązanie przeznaczenia na pomoc dla Trzeciego Świata 0,7 proc. produktu społecznego rocznie. Wprost przeciwnie, nastąpiło relatywne zmniejszenie pomocy gospodarczej dla tych krajów co wpłynęło również na brak widocznych postępów w umarzaniu ogromnego, sięgającego 300 mld dolarów zagranicznego zadłużenia państw słabo rozwiniętych.

Analizując powyższe problemy można zauważyć, iż brak konkretnych wyników w dialogu Północ — Południe sprowadza się do trzech głównych przyczyn.

Po pierwsze: problematyka rozwojowa nie jest priorytetowym zagadnieniem międzynarodowych stosunków gospodarczych wobec czego międzynarodowe przedsięwzięcia rozwojowe niezależnie od tego, jakimi będą, mogą stanowić tylko skromny, właściwie marginesowy wkład do ekonomicznego rozwoju Trzeciego Świata.

Po drugie: jak już podkreślano, w krajach wysoko rozwiniętych osłabła polityczna wola

POLITYCY USA O SALT II

W centrum uwagi całego świata znajdują się nadal wyniki radziecko-amerykańskiego spotkania na najwyższym szczeblu, zakończonego podpisaniem układu o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych SALT II. W komentarzach prasy zachodniej wyraża się przekonanie, iż podpisanie porozumienia SALT II wywrze ogromny pozytywny wpływ na całokształt stosunków międzynarodowych na całym świecie. Biuro Polityczne KC KPZR, Prezydium Rady Najwyższej i Rząd ZSRR w pełni zaaprobowały i wyraziły zadowolenie z wyników spotkania radziecko-amerykańskiego w Wiedniu, a przede wszystkim z podpisania układu między ZSRR i USA o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych i związanych z nim dokumentów, jak również komunikatu radziecko-amerykańskiego.

Od lipca do października br. układ SALT II będzie przedmiotem debaty w Senacie USA. Przewiduje się, iż ostateczne głosowanie odbędzie się w listopadzie br. Jak wynika z różnych enuncjacji, szerokie kręgi amerykańskiego społeczeństwa wyrażają opinię, iż ratyfikacja porozumienia SALT II przez Senat będzie miała wyjątkowo ważne znaczenie dla umocnienia międzynarodowego bezpieczeństwa i usunięcia groźby wybuchu wojny jądrowej. Ten sam pogląd wyrażają narody wielu krajów.

Nie ulega wątpliwości, iż wejście w życie porozumienia SALT II przyśpieszy — rozpoczęty z inicjatywy ZSRR proces zahamowania wyścigu zbrojeń, wywrze pozytywny wpływ na wszystkie aspekty stosunków radziecko-amerykańskich, zdejmie ogromne ekonomiczne brzemię z barków obu narodów, zwielokrotni walkę o pokój na całym świecie, ożywi rokowania rozbrojeniowe. Jednakże w Stanach Zjednoczonych narasta kampania przeciwników porozumienia SALT II, rozkręcana przez fabrykantów broni i ich sojuszników zasiadających w Senacie USA. Przedstawiciele tych kół trąbią wokół, iż Związek Radziecki już prześcignął lub wkrótce prześcignie Stany Zjednoczone pod względem potęgi militarnej. Amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy ma wielkie wpływy w Kongresie oraz w ośrodkach masowej informacji. Postępowe koła USA zwracają uwagę, że należy brać pod uwagę fakt, iż mimo ogromnego poparcia, jakiego udzielają Amerykanie odprężeniu, kompleks wojskowo-przemysłowy USA, rozpalając antyradziecką kampanię, zasiewa w społeczeństwie ziarna nieufności i niepokoju.

Zbliżająca się debata w Senacie USA nad SALT II może mieć bardzo dramatyczny przebieg, ponieważ siły konserwatywne nie będą chciały dopuścić do ratyfikacji układu lub sięgną do słynnego arsenału poprawek, to znaczy do wprowadzenia ich do postanowień układu. Wiadomo jednak, iż podpisane postanowienia SALT II są konstrukcją skomplikowaną, wynikiem wyważonego kompromisu... Obserwatorzy polityczni na Zachodzie uważają, że gdyby Senat amerykański nie ratyfikował porozumienia SALT II, to wówczas opinia międzynarodowa obciąży USA wyłączną odpowiedzialnością za niespełnienie nadziei, wiązanych z osiągniętym w Wiedniu postępem na drodze odprężenia i perspektyw rozbrojenia.

Niżej zamieszczone (ze skrótami) sprawozdanie Służby Studiów Kongresu USA, zawierające analizę następstw ratyfikacji porozumienia SALT II lub odrzucenia go przez Senat, odzwierciedla pogląd trzeźwo myślącej części amerykańskich polityków, chociaż z niektórymi twierdzeniami w sprawozdaniu nie można się zgodzić.

„Ratyfikowanie porozumienia SALT II przez senatorów większość obserwatorów oceniłaby jako potwierdzenie zainteresowania Stanów Zjednoczonych dla kwestii ograniczenia zbrojeń jądrowych. Dlatego też dla wielu ludzi byłoby to symbolem gotowości USA do współpracy ze Związkiem Radzieckim w dążeniu do uniknięcia wojny jądrowej. Ratyfikacja stworzyłaby atmosferę sprzyjającą zmniejszeniu różnicy poglądów w innych kwestiach, jeśliby nawet nie gwarantowała pozytywnych wyników. Na przykład osobisty kontakt prezydenta Cartera z radzieckim kierownictwem, który byłby jednym z wyników ostatecznej ratyfikacji układu, mógłby też zapewnić odpowiednią atmosferę dla polepszenia amerykańsko-radzieckich stosunków w innych dziedzinach. Jasne jest również, iż ratyfikacja układu SALT II zostałaby oceniona na całym świecie jako zobowiązanie — przynajmniej na najbliższą przyszłość — do zachowywania w stosunkach między Wschodem i Zachodem nie tylko aspektów konkurencji, lecz także aspektów współpracy. Taka perspektywa ma szczególnie ważne znaczenie dla krajów zachodniej i wschodniej Europy, które oceniłyby to porozumienie jako dążenie do rozszerzenia kontaktów handlowych, a także innych, między Wschodem i Zachodem. Tak więc Europejczycy poczytają ratyfikację jako wkład w proces odprężenia.

O ile zaaprobowanie układu SALT II przez Senat może stworzyć ograniczoną możliwość korzystnych zmian w stosunkach amerykańsko-radzieckich, o tyle odmowa ratyfikacji pociągnie za sobą dramatyczne następstwa. Rozmowy o ograniczeniu zbrojeń strategicznych są nie tylko wskaźnikiem stanu stosunków amerykańsko-radzieckich, lecz także najważniejszym krokiem dwóch mocarstw na przestrzeni ostatnich lat. Inne amerykańsko-radzieckie rozmowy na temat kontroli nad zbrojeniami, kontakty w dziedzinie handlu i kultury, wymiany naukowe i inne schodzą na dalszy plan w porównaniu z polityczną i wojskową wagą wzajemnych kontaktów w ramach ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Odrzucenie układu przez Stany Zjednoczone zostałoby ocenione w świecie jako ważny zwrot polityki USA w stosunku do Związku Radzieckiego. Odrzucenie układu w połączeniu z nowo nawiązanymi stosunkami między Waszyngtonem i Chinami może tylko spotęgować konsekwencje takiej decyzji. Ratyfikacja przez Senat układu SALT II oznaczałaby z pewnością, że amerykańska i radziecka delegacje rozpoczną następną rundę rozmów o ograniczeniu strategicznych zbrojeń, które przyjęto nazywać SALT III. Odrzucenie układu SALT II zrodziłoby poważne wątpliwości co do losu rozmów o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Jeśli Senat odrzuci układ lub przyjmie go z poprawkami, Rosjanie, być może, odmówią rozmów o SALT.

Niektórzy politycy, w tym również rząd Cartera, twierdzą, iż odmowa ratyfikacji porozumienia może spowodować całkowite zahamowanie procesu SALT, włącznie z anulowaniem Tymczasowego porozumienia o niektórych środkach w zakresie ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych oraz Porozumienia o ograniczeniu systemów obrony antyrakietowej, zawartych na pierwszym etapie SALT.

Jeśli chodzi o inne rozmowy w sprawie kontroli nad zbrojeniami, to nie ma żadnej gwarancji, czy po odrzuceniu przez Senat układu SALT II, doszłoby do osiągnięcia postępu w innych dziedzinach. Radzieccy przedstawiciele oświadczają iż rozmowy w sprawie zawarcia porozumienia o ogólnym zakazie prób jądrowych, ograniczeniu sprzedaży zwykłych broni, jak również rozmowy w Wiedniu w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń NATO i Układu Warszawskiego w środkowej Europie, mogłyby zyskać dzięki ratyfikowaniu SALT II. Dlatego odrzucenie układu z pewnością pogorszyłoby polityczną sytuację z punktu widzenia innych wysiłków w sprawie kontroli nad zbrojeniami, których powodzenie zależy od współpracy amerykańsko-radzieckiej. Odmowa ratyfikacji układu może także utrudnić wysiłki w położeniu kresu rozprzestrzenianiu się broni jądrowej, ponieważ państwa nie dysponujące tą bronią będą oceniać układ SALT II jako ważne świadectwo dążenia obu mocarstw do zmniejszenia niebezpieczeństwa wybuchu wojny jądrowej.

Sojusznicy USA z Paktu Północnoatlantyckiego zdecydowanie popierają porozumienie SALT II, o czym świadczą oficjalne oświadczenia wszystkich rządów krajów członkowskich NATO. Tak więc przyjęcie przez Senat tego układu będzie pozytywnie przyjęte przez kraje należące do NATO. I chociaż poszczególni konserwatywni Europejczycy wciąż jeszcze wyrażają wątpliwości co do pewnych aspektów porozumienia SALT II, to jednak uważają, iż przyjęcie go przez Senat odpowiadałoby interesom ich krajów. Odmowa ratyfikacji wzbudzi niepokój wśród wielu europejskich państw: może ona doprowadzić do nawrotu „zimnej wojny", która spowoduje ochłodzenie współpracy ze Wschodem, i żądania zwiększenia zbrojeń zaczną rosnąć. Wątpliwości wysuwane już przez niektórych europejskich przywódców co do umiejętności prezydenta Cartera w utrzymaniu kierowniczej roli w państwie zaczęłyby rosnąć. Europejscy przywódcy będą mieli wątpliwości co do efektywności samego systemu amerykańskiego wypracowywania i wcielania w życie polityki zagranicznej oraz polityki w dziedzinie obrony. Będą sie oni z pewnością przeciwstawiać jakiemukolwiek nawrotowi do polityki w duchu zimnej wojny".

J. CZECH

Z PRASY

Front Wyzwolenia Narodowego im. Sandino kontroluje wiele dużych, gęsto zaludnionych ośrodków. Jak powiedział w wywiadzie korespondentowi w Kostaryce jeden z przywódców FWN im. Sandino, Eden Pastora, ogromne terytorium na południu kraju znajduje się w rękach patriotów i zostało ogłoszone jako obszar wyzwolony.

Kierownictwo Frontu wyraziło przez radio głęboką wdzięczność ludności Nikaragui za aktywny udział w ogólnonarodowym strajku paraliżującym cały kraj. FWN zwrócił się do wojskowych z apelem o złożenie broni i przechodzenie na stronę narodu. „Żołnierze! Nie będzie dla was miejsca w samolotach w których zamierzają uciec za granicę pomagierzy tyrana!" — głosi apel. Gwardia Narodowa dyktatora ponosi ogromne straty, usiłując rozpaczliwie powstrzymać nacisk patriotów i zdobyć utracone pozycje. Samoloty T-33 produkcji amerykańskiej bombardują pozycje powstańców i zamieszkałe dzielnice miasta. Nadchodzą informacje o coraz to nowych przestępstwach reżimu. Podczas karnych operacji w mieście Diriamba dokonano masowych rozstrzeliwań mieszkańców, podejrzanych o powiązania z partyzantami. Somoza ogłosił stan wyjątkowy co oznacza, iż patrole Gwardii Narodowej mają prawo aresztować i bez ograniczenia czasu przetrzymywać w więzieniu bez sądu i śledztwa, każdego mieszkańca Nikaragui podejrzanego o współpracę z partyzantami. W celach „profilaktycznych" przeprowadza się aresztowania wśród przywódców partii opozycyjnych, związków zawodowych, organów prasowych.

Mimo ogłoszenia mobilizacji rezerwistów, powołuje się pod broń 14-letnich chłopców. Według informacji pochodzących ze źródeł dobrze poinformowanych, oprawcy dyktatora Somozy zamęczyli na śmierć dużą grupę chłopców, którzy odmówili walki przeciwko własnemu narodowi. Pragnąc nie dopuścić do upadku Somozy, reakcyjne dyktatury Ameryki Łacińskiej spiesznie wysyłały do Nikaragui najemników. Meksykańska gazeta „Excelsior" informuje, iż w operacjach pacyfikacyjnych przeciwko ludności cywilnej oraz w walkach z powstańcami biorą udział „doradcy" z USA i Izraela, „instruktorzy" z Chile, Gwatemali, Hondurasu i innych krajów. W załogach pięciu samolotów, zestrzelonych przez powstańców, znajdowali się najemnicy z USA i Południowej Korei. Wenezuelska gazeta „National" poinformowała, iż z amerykańskiej bazy Howard w strefie Kanału Panamskiego, na 10 samolotach transportowych typu „Herkules" dostarczono wojskom dyktatora broń, amunicję i żywność.

(J)

I BOGATYCH

niesienia krajom rozwijającym się istotnej pomocy, zwłaszcza gdyby miało się to dokonywać kosztem ich partykularnych korzyści.

Po trzecie grupa krajów rozwijających się wykazuje coraz większe zróżnicowania, np. dochody na jednego mieszkańca w najbogatszych krajach rozwijających się jak Kuwejt, Brazylia itp. są ok. 100 razy wyższe niż w najbiedniejszych jak Bangladesz, Górna Wolta czy Haiti. Podobne różnice obserwuje się także w strukturze produkcji rolnej, przemysłowej i górniczej.

W związku z tym niemożliwe jest właściwie sprowadzenie do jednego mianownika zróżnicowanych interesów wszystkich krajów rozwijających się w dialogu z państwami uprzemysłowionymi. Zgodność stanowisk występuje tylko w jednym: żądania pod adresem krajów wysoko rozwiniętych powinny być tak sformułowane, aby interesy każdego rozwijającego się kraju mogły zostać zaspokojone w sposób najbardziej racjnalny i pełny z punktu widzenia priorytetów jego rozwoju.

Wprawdzie wkład krajów Trzeciego Świata do gospodarki światowej wzrósł w ostatnich dwóch dziesięcioleciach, ale ich udział w produkcie globalnym nie osiąga 25 proc. jego wielkości. Decydujące znaczenie ma jednak rozbieżność tendencji: nastąpiło przyśpieszenie wzrostu gospodarczego krajów rozwijających się w porównaniu z krajami uprzemysłowionymi (od 1973 roku przyrost produktu narodowego jest trzykrotnie szybszy niż 10 lat wstecz), przy czym tendencja ta utrzyma się prawdopodobnie również w nadchodzących latach.

W tym kontekście widać wyraźnie, że kraje rozwijające się są dziś — inaczej niż przed ćwierćwieczem — doniosłym czynnikiem, który kształtuje współczesny układ międzynarodowych stosunków gospodarczych, czynnikiem którego rola stale się zwiększa. Jest oczywiste że procesowi temu towarzyszyć będzie coraz głębsze zróżnicowanie gospodarcze i polityczne między krajami słabo rozwiniętymi, co w efekcie musi jeszcze bardziej osłabić spoistość Grupy 77. W przyszłym systemie gospodarczym świata należy przewidywać pojawienie się całej sieci takich zróżnicowanych poziomów rozwoju (jak np. Brazylia w Ameryce Łacińskiej, Nigeria w Afryce, Chiny w Azji itp) oddziałujących w coraz większym stopniu na mniejsze i uboższe kraje poszczególnych regionów.

Podobnie jak w latach sześćdziesiątych, osłabia dominująca rola Stanów Zjednoczonych w światowym systemie gospodarczym wskutek wzrostu siły ekonomicznej Europy Zachodniej oraz Japonii, tak od połowy lat siedemdziesiątych następuje nowe przesunięcie w układzie sił na korzyść nowych krajów uprzemysłowionych. Witalność gospodarki świata nie opiera się już wyłącznie na trójkącie USA — EWG — Japonia. Sytuacja gospodarcza tych mocarstw zależy coraz bardziej również od decyzji nowych biegunów rozwojowych ekonomiki światowej w sprawie cen, produkcji, inwestycji itd. Faktem jest przecież, iż w różnych sektorach gospodarki nowe moce produkcyjne powstają prawie wyłącznie w krajach Trzeciego Świata. Państwa uprzemysłowione poprzestają jedynie na usprawnianiu istniejących urządzeń i procesów wytwórczych lub muszą pod naciskiem konkurencji krajów rozwijających się zamykać zakłady. Dzieje się tak w wielu gałęziach przemysłu zdominowanych dotąd przez industrialne potęgi, którym pozostaje tylko wytwarzanie wyrobów o nowoczesnej technologii.

W ten sposób zarysowuje się, od początku dekady w coraz szybszym tempie, nowy międzynarodowy podział pracy między krajami wysoko rozwiniętymi i rozwijającymi się. Pierwsze z nich specjalizują się intensywniej, niż kiedykolwiek przedtem w opracowywaniu projektów nowych wyrobów, nowych technologii i metod produkcyjnych. Państwa Trzeciego Świata natomiast wychodzą ze swych tradycyjnych pozycji eksporterów surowców i produktów rolnych, co stopniowo ale wyraźnie zmniejsza dysproporcje między Północą a Południem, jeśli chodzi o udział w eksporcie surowców i wyrobów gotowych.

Proces ten postępuje w sposób szczególnie widoczny w państwach Dalekiego Wschodu i Ameryki Południowej. Przypada na nie dzisiaj ok. 80 proc. całego eksportu wyrobów gotowych z krajów rozwijających się. Według przewidywań Banku Światowego ta dominująca pozycja wspomnianych regionów nie zmieni się w istotnym stopniu w latach następnych, aczkolwiek kraje Bliskiego Wschodu rozszerzać będą dostawy na rynek swych energochłonnych materiałów podstawowych.

Kraje uprzemysłowione Zachodu zareagowały na zmiany międzynarodowego podziału pracy, które są istotną częścią nowego światowego porządku gospodarczego, dość dużą paniką. Ich zdolność dokonywania przekształceń strukturalnych w przemyśle okazała się ograniczona. Pojawiły się naciski na rządy na rzecz podjęcia odpowiednich kroków przeciwko importowi z krajów rozwijających się, którym zarzucono m. in. dumping w dziedzinie cen płac. Protekcjonizm tradycyjnie dotyczący rolnictwa rozszerzył się nagle na wyroby przemysłowe, czym godził przede wszystkim w interesy najbardziej rozwiniętych państw Trzeciego Świata. Lecz na dłuższą metę brak dostosowań strukturalnych, jak można się spodziewać, okaże się być znacznie bardziej uciążliwy dla krajów zindustrializowanych niż słabo rozwiniętych, co musi spowodować konieczność zmiany w traktowaniu tych ostatnich, tj. dostrzegania w nich równoprawnych partnerów gospodarczych, z którymi należy współpracować na zasadzie rzeczywistej wzajemności.

SŁOWO O KOMPOZYTORZE

Po prawykonaniu w łódzkiej filharmonii, dokładnie przed 6 laty, dzieła Bernarda Pietrzaka „Con dolore" („Ze smutkiem"), fachowa prasa muzyczna podkreślała, że było to prawdziwe artystyczne wydarzenie. Autora uznano za jedną z najciekawszych indywidualności kompozytorskiego środowiska Łodzi.

Wspominam o tym w związku z mijającą 1 rocznicą śmierci kompozytora, sprowokowany niedawnym, ponownym odtworzeniem utworu przez naszych filharmoników. Wspominam — rzec tu można również — con dolore, z żalem. Uświadamiam sobie bowiem, że zarówno wymienione wyżej dzieło, jak i tych kilka jego innych, szerzej znanych i komentowanych kompozycji (wykonywanych m. in. na różnych ogólnopolskich festiwalach), stanowić mogły przecież dopiero zapowiedź wielu dalszych i jeszcze bardziej interesujących dokonań. Znałem Bernarda Pietrzaka bezpośrednio i w jakiś sposób jestem też zorientowany w jego nie zrealizowanych już, niestety, planach. Mogę ogólnie stwierdzić, że śmierć przecięła tę rozwijającą się twórczość w nader obiecującej fazie. Artystyczna wypowiedź przerwana została brutalnie wpół słowa. I to zresztą w sposób niemal dosłowny. Kompozytor zmarł w trakcie pracy nad kolejnym utworem.

Tamto majowe — sprzed lat — prawykonanie, poza ujawnieniem czysto muzycznej, warsztatowej sprawności w dziedzinie techniki orkiestrowej (znakomite wyczucie formy, niebanalna instrumentacja), było z innego jeszcze powodu interesujące. Odkryło mianowicie jakąś chyba intymną prawdę o samym twórcy. Do partytury dołączył Pietrzak, jak to bywało niegdyś w modzie wśród kompozytorów hołdujących muzyce programowej, odautorski komentarz. Kilka zdań mających przyjąć funkcję psychologicznej „treści" dzieła: choć nie tkwiącej immanentnie w muzyce, to jednak z nią związanej. Jest tam mowa o człowieku zagubionym wśród codzienności, jego dążeniu do odnalezienia siebie we własnym środowisku, o trudnościach w nawiązaniu bliższego kontaktu z otoczeniem. A więc, krótko: o samotności. Dopatrując się w tym — nie bez powodu — pewnych znaczeń autobiograficznych, trzeba by wpierw wyjaśnić jedno. Pietrzak był cenionym wykładowcą w PWSM, człowiekiem lubianym za życzliwość, skromność, za to, iż stanowił widome zaprzeczenie postawy konsumpcyjnej w życiu. Jego aktywność zawodowa obejmowała nb. również i grę na organach (poza studiami teorii muzyki i kompozycji u K. Sikorskiego ukończył również w Łodzi klasę organów, stąd w jego tece kompozytorskiej tak wiele utworów na ten właśnie instrument), znajdował nawet czas na opiekowanie się amatorskim chórem „Harmonia". Jednakże — jak to sam wielokrotnie podkreślał — istotą jego pracy i głównym sensem życia była twórczość. Przez jej pryzmat patrzył też na świat. Dopiero więc w tym kontekście, przy uwzględnieniu wspomnianej skali wartości, uzasadnione może być pytanie: czy był osamotniony?

Wiem, że w tej chwili wkraczam już, chcąc nie chcąc, w sferę prywatności. Niech mi jednak wolno będzie kontynuować rozpoczęty wątek; sądzę, że właśnie on powie o samym Pietrzaku to, co dla zbudowania jego wizerunku okazać się może niezbędne...

A zatem — czy był, a raczej czy czuł się osamotniony?... Zapewne. I to przede wszystkim w ten właśnie sposób, w jaki, w kreowanym przez siebie świecie dźwięków, czuje się nierzadko samotny kompozytor muzyki współczesnej, muzyki oskarżanej o hermetyczność i niezrozumiałość. Zważmy przy tym — co istotne — że Pietrzak działał w Łodzi, w mieście, w którym tak niewiele było na przestrzeni ostatnich lat wykonań nowej muzyki, w szczególności zaś prezentacji dzieł miejscowych twórców. Czy mogło w tej sytuacji dojść, jeśli już nie do trwałej więzi z odbiorcą, to przynajmniej do wymiany myśli, choćby kontrowersji? Nawet, jeśli by uwzględnić obręb samego tylko środowiska muzycznego? No cóż, studenci i współpracownicy — także i oni nie mieli zbyt wielu sposobności by tu, na miejscu, w Łodzi popatrzeć na kompozytorskie oblicze starszego wykładowcy B. Pietrzaka.

Warto przy okazji, odchodząc może nieco myślą w bok, zastanowić się przez moment nad bardziej jeszcze ogólnymi przesłankami określającymi sytuację (kondycję) współczesnego kompozytora. Mam tu na myśli uwarunkowania czysto warsztatowe, technologiczne. Pisał swego czasu Theodor W. Adorno, że twórca staje dziś „przed zadaniami równie nierealnymi, jak pisarz, który dla każdego pisanego przez siebie zdania musiałby od nowa tworzyć słownictwo i składnię...". Rzeczywiście, dawno minął okres, gdy autor muzycznych dzieł miał do dyspozycji środki o charakterze uniwersalnym, powszechnie stosowane i składające się na dany styl historyczny (było tak np. w baroku, klasycyźmie). Od załamania się systemu dur-moll, tzn. od początku XX w., nie obowiązują już właściwie żadne zwyczajowe normy, czy reguły w zakresie kształtowania harmoniki, formy etc. (zaczynać trzeba od zera, regułą jest brak reguł — jak mawia B. Schäffer). Każdy kompozytor, oczywiście nie-epigon i nie-eklektyk, zdany jest wyłącznie na siebie, od podstaw budować musi zasady dźwiękowej organizacji. Można by stwierdzić, że skazany jest w tej dziedzinie na absolutną wolność, a zarazem na samotność w podejmowaniu artystycznych decyzji. Był tego świadom Bernard Pietrzak, zauważając, że *„nowoczesność ujawnia się w formie utworu, ale zaczyna wcześniej; musi leżeć w psychice autora, w jego predyspozycjach wewnętrznych"*.

Bernard Pietrzak

Chcąc jak najkrócej scharakteryzować postawę twórczą autora „Con dolore", zaakcentować należy to, iż był kompozytorem poszukującym. Nie poprzestawał na wypracowanych przez siebie i sprawdzonych już rozwiązaniach — eksperymentował dalej, a jeśli adaptował dla swych potrzeb np. technikę aleatoryczną (która, rzecz jasna, nie jest żadnym szczegółowym „sposobem" komponowania) robił to z umiarem, bez nadmiernej fascynacji. Wymienię w tym miejscu takie częściowo aleatoryczne, znaczące w jego dorobku, pozycje, jak Trio stroikowe (1964), czy też orkiestralne „Barwy czasu" (1967), „Oczekiwanie" (1970), „Con vigore" (1973). Nic też w sumie dziwnego, że podczas pierwszych „Łódzkich Wiosen Artystycznych", kiedy to dawana była jeszcze lokalnym twórcom możliwość dorocznego prezentowania melomanom swojej nowo powstałej muzyki, potrafił Pietrzak zaciekawić słuchaczy, w tym krytykę, i zyskać opinię nowatora.

Natomiast jak komponował? Odwołam się do jego własnej, dość wyczerpującej wypowiedzi: *„Myślę zawsze o konkretnym utworze, napisanym na określony instrument czy zespół, najczęściej — na orkiestrę symfoniczną. Nie jest to więc tak, że najpierw słyszę wewnętrznie jakiś motyw, a potem szukam dla niego instrumentu. Pomysł musi dojrzeć we mnie w postaci pierwszego zarysu, pierwszego szkicu, zanim zacznę pisać... Są to zresztą sprawy indywidualne, niektórzy np. nie mogą, ani przez chwilę obejść się bez fortepianu, a ja w zasadzie obywam się bez instrumentu, ale za to dość długo noszę się z pomysłem i to w przeróżnych okolicznościach..."*.

Był Pietrzak, jak to mieliśmy kiedyś okazję przeczytać, twórcą z ducha współczesnym. Był w swej pracy oryginalny, nonkonformistyczny. Jedynie wtedy, gdy dla potrzeb teatru, czy telewizji pisał muzykę użytkową, ilustracyjną, posługiwał się dawniejszymi, obiegowymi konwencjami. We wszystkich innych wypadkach zawierzał jedynie osobistej intuicji i wyobraźni. Oczywiście nie miejsce tu, by szczegółowo charakteryzować jego dorobek: kompozycje orkiestrowe, kameralne, solistyczne, chóralne itd. Nie miejsce, by rozszyfrowywać tajniki rzemiosła i opisywać niuanse stylu. Temat to na obszerną pracę, a jak mi wiadomo, jest już takowa w przygotowaniu.

Minął rok od śmierci tego związanego z Łodzią twórcy, uważanego w kręgach fachowych za jedną z najciekawszych indywidualności w środowisku kompozytorskim naszego miasta. Mogliśmy w związku z tym, po długiej przerwie, posłuchać znów jego muzyki — jednego utworu w filharmonii i kilku — na monograficznym koncercie kameralnym w PWSM. Wypadałoby od razu spytać: czy na tym koniec?

Zmniejsza się, niestety, skład Łódzkiego Koła Związku Kompozytorów Polskich. Lecz niech nie zmniejsza się nasze zainteresowanie dla muzyki tych, którzy odeszli.

JANUSZ JANYST

JUBILEUSZ WŁADYSŁAWA MALCZEWSKIEGO

W ubiegłą sobotę odbyło się na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi setne przedstawienie słynnego w świecie musicalu M. Leigha „Człowiek z La Manczy". Od dnia swej premiery w Teatrze Wielkim (8.IV.1972) cieszy się on ogromnym zainteresowaniem publiczności.

Setne przedstawienie „Człowieka z La Manczy" zbiegło się z pięknym jubileuszem 35-lecia pracy artystycznej solisty Władysława Malczewskiego, który od otwarcia łódzkiego Teatru Wielkiego, związał z nim swe losy artystyczne.

Oto fragmenty niektórych recenzji, poświęcone Jubilatowi:

* * *

Prawdziwą artystyczną kreację stworzył Władysław Malczewski jako Jagon. Jego zjadliwa pasja niszczenia szczęścia drugich i moralnego porządku, żądza kariery za wszelką cenę, cyniczna zawiść, brutalna przebiegłość i mistrzowskie oszustwa rozpalały chorą wyobraźnię Otella i bezsilną wściekłość zrozpaczonego wodza. Czyni to w sposób tak naturalny i swobodny, że z jego obecnością na scenie potęgował się demonizm i rosło napięcie uwagi. Jego głos ma piękne brzmienie i mieni' się bogatą skalą odcieni, uczuć, przy idealnej, wzorowej dykcji. Jest artystą wielkiej miary.

Roman Heising, *Otello G. Verdiego w Operze Bałtyckiej Głos Wybrzeża, 1967*

* * *

Malczewski posiada głos o tym charakterze, którego brakuje w zespole Teatru Wielkiego w Warszawie. Jest barytonem bohatersko-dramatycznym, co predestynuje go do śpiewania takich partii jako Amonastro w *Aidzie*, Torreadora w *Carmen*, Jagona w *Otellu* czy Scrapia w *Tosce*. W Warszawie usłyszeliśmy go w roli Miecznika w *Strasznym Dworze* Moniuszki.

Artysta zaprezentował znaczny wolumen głosu, nienaganną dykcję, swobodę sceniczną...

J. Komorowska, *Występ gościnny W. Malczewskiego w Teatrze Wielkim w Warszawie, Tygodnik Demokratyczny, 1967*

Władysław Malczewski

* * *

Z wykonawców najwspanialszy sukces odniósł znajdujący się w fenomenalnej formie Władysław Malczewski śpiewający niezrównanie tytułową partię. Jego scena z porywającym i znakomitym pod każdym względem Andrzejem Saciukiem (Kończak) — to największe wydarzenie wszystkich czterech spektakli premierowych.

Anna Iżykowska, *Igor, jakiego się nie zapomina, Głos Robotniczy, 1967*

* * *

Władysław Malczewski — Jago, ponad wszelkie pochwały! Głos wyrównany, szlachetny w barwie, dykcja bez zarzutu, gra tak logiczna i opracowana do drobnych szczegółów, jakichś pozornie nie znaczących ruchów dłoni, że nabiera się przekonania, iż ten Jago mógł grać w samym Szekspirze, bez Verdiego.

Jerzy Waldorff, *Otello w Teatrze Wielkim w Warszawie, Świat, 1969*

* * *

Partia Telramunda to jeszcze jedna znakomita kreacja najlepszego dziś chyba polskiego barytonu dramatycznego, doświadczonego śpiewaka i aktora operowego, Władysława Malczewskiego.

Wojciech Dzieduszycki, *Wielki spektakl Lohengrina w Wielkim Teatrze łódzkim, Życie Literackie, 1970*

* * *

Amonastro Władysława Malczewskiego był kreacją, w której nie wiadomo co bardziej podziwiać: wspaniały głos, znakomitą technikę wokalną czy świetne aktorstwo. (...) Po Władysławie Malczewskim trudno zapewne grać Amonastra.

Teresa Wojciechowska, *Łódzka Aida, Odgłosy, 1971*

* * *

Znakomitym Henrykiem VI był Władysław Malczewski, śpiewak, który zdobył sobie ostatnimi laty poważną pozycję w naszym życiu operowymi walorami głosu i kunsztem gry aktorskiej.

Zdzisław Sierpiński, *Henryk VI na łowach, Życie Warszawy, 1972*

* * *

Wokalnie najlepszy w całym przedstawieniu był Władysław Malczewski jako król Henryk VI. Nic w tym zaskakującego. Artysta ten jest przecież nie tylko jednym z najlepszych śpiewaków zespołu opery w Łodzi, ale jednym z najlepszych barytonów w Polsce.

Bogdan M. Jankowski, *Nowa polska opera, Teatr, 1972*

* * *

Można (...) było się obawiać, czy rola Człowieka z La Manczy będzie mu odpowiadać. A przecież Władysław Malczewski potrafił kreowanej przez siebie postaci nadać barwę wyciszonego liryzmu i filozoficznej zadumy w partiach Cervantesa i nierealnego romantyzmu w partiach Don Kichota. Pięknie brzmiały songi przez niego wykonywane.

Teresa Wojciechowska, *Don Kichot z Broadwayu, Odgłosy, 1972*

* * *

I wreszcie kolej na rewelację nowej premiery — na wielką kreację artystyczną Władysława Malczewskiego, który w partii Igora osiągnął szczyty doskonałości. Trudno byłoby w świecie znaleźć równie znakomitego odtwórcę tej roli, co nasz wspaniały baryton, który prześcignął nawet samego siebie w tej roli sprzed lat siedmiu.

Anna Iżykowska, *Powrót Kniazia Igora, Głos Robotniczy, 1974*

* * *

Partię Rigoletto wykonał Władysław Malczewski. Artysta ma wspaniały, silny baryton. To nie tylko dobry śpiewak, lecz również utalentowany scenicznie wykonawca, głos śpiewaka dźwięczał swobodnie i silnie.

Literatura un Maksla, Ryga, 1966

* * *

Najbardziej żywiołowo śpiewał i grał m. in. Władysław Malczewski, w wykonaniu którego Don Alfonso posiadał cechy szykownego, sprytnego mimo podeszłego wieku bon vivanta.

E. Fischer, *Cosi fan tutte Mozarta, „Dusseldorfer Nachrichten, 1972*

Człowiek z La Manczy — Władysław Malczewski (Don Kichot) i Antoni Majak (Szef więźniów).

Foto: J. Neugebauer

Władysław Malczewski rozpoczął studia wokalne w roku 1939 w Konserwatorium Lwowskim, następnie podczas okupacji kontynuował naukę prywatnie. Po wyzwoleniu Lwowa, w roku 1944 został równocześnie przyjęty na piąty rok studiów w klasie prof. Wł. Kaczmara i zaangażowany do Akademickiego Teatru Opery i Baletu we Lwowie, gdzie zadebiutował w tym samym roku partią Janusza w „Halce" Stanisława Moniuszki.

Po jedenastoletniej przerwie w działalności artystycznej powrócił w 1956 roku do czynnej pracy, tym razem na scenę Opery Krakowskiej, której solistą był do 1959 roku. Jednocześnie w Krakowie ukończył z odznaczeniem (w 1958 roku) wyższe studia muzyczne w klasie prof. Wł. Kaczmara.

Okres krakowski to wytężona i bardzo twórcza praca. Zadebiutował w tytułowej partii w „Eugeniuszu Onieginie" Piotra Czajkowskiego. Współpracował jednocześnie z Operą Śląską w Bytomiu, a w roku 1959 został zaangażowany do Opery Poznańskiej, w której pracował do roku 1964. Pierwszą operą, w której debiutował na poznańskiej scenie, była „Manru" Ignacego Paderewskiego. Artysta uczestniczył również w późniejszej realizacji tej opery w Warszawie.

W repertuarze Opery Poznańskiej, a później i Opery Bałtyckiej, znalazły się dla Władysława Malczewskiego takie partie, jak m. in. tytułowa w „Kniaziu Igorze" Aleksandra Borodina, Renato w „Balu Maskowym" Giuseppe Verdiego, Scarpia w „Tosce" Pucciniego, Jagona w „Otellu" Verdiego i szereg innych. Śpiewa on je z ogromnym powodzeniem do dziś.

Od roku 1967 Władysław Malczewski związał się na stałe z łódzkim Teatrem Wielkim. W spektaklu inaugurującym działalność tej placówki śpiewał tytułową partię w „Kniaziu Igorze". Wśród wielu ról na łódzkiej scenie do niezapomnianych należą m. in. Jan w „Tragedyji albo rzeczy o Janie i Herodzie" R. Twardowskiego, tytułową w „Henryku VI na łowach" K. Kurpińskiego, Don Kichota w „Człowieku z La Manczy" M. Leigha, Miecznika w „Strasznym Dworze" St. Moniuszki, Jagona w „Otellu" G. Verdiego, Posy w „Don Carlosie" G. Verdiego, Fryderyka w „Lohengrinie" R. Wagnera.

W latach 1967—71 Władysław Malczewski współpracował ze sceną operową w Lubece (RFN), gdzie śpiewał m. in. Scarpia w „Tosce", Jana w „Salome" R. Straussa, Don Carlosa w „Mocy przeznaczenia" G. Verdiego, Jagona w „Otellu" Verdiego, zaś w latach 1973—78 — z Deutsche Staatsoper w Berlinie, wykonując m. in. arcytrudną partię we współczesnej operze E. Maeyera „Reiter der Nacht" której wersję sceniczną zarejestrowała telewizja NRD.

Dorobek kulturalny naszego kraju prezentował artysta również podczas licznych gościnnych występów m. in. w Związku Radzieckim, NRD, Jugosławii, Bułgarii, RFN, Finlandii.

AGNIESZKA BARŁÓG

MOJE INTERWENCJE

Chłopiec w skrzyni śmietnikowej? Podchodzę i widzę na ziemi trochę spleśniałego chleba. Obok stoją butelki. A on dalej grzebie. Po co mu te butelki?

— Co ty tu robisz?

Wyskoczył. Złapał butelki i chce uciekać. Zdążyłam go uchwycić za głowę.

— Na co ci te butelki? Mieszkam tu niedaleko, mam w domu kilka czystych. Dam ci je.

Puściłam jego głowę, ale zatrzymałam rękę. Chłopiec patrzył wystraszony. Wyrywał się. Wreszcie powiedział:

— Chce mnie pani odstawić do kicia? To nie złodziejstwo.

— Głupstwa gadasz. Naprawdę chcę ci dać butelki.

Twarz mu się zmieniła, gdy go zaprowadziłam do mieszkania i pokazałam kilka butelek. Wrzucił je natychmiast do worka.

— Jak ci na imię?

Nie odpowiedział.

— W domu obok mieszka moja znajoma. Na pewno znajdziesz tam kilka butelek. Chodź.

Pani Karowa była zdumiona, kiedy zobaczyła mnie w towarzystkie obdartego chłopaka z workiem na plecach. Ale dała butelki. Chłopiec odszedł. Karowa podała herbatę.

— Co to za przyjemność pomagać pijakom.

— I to mówi przewodnicząca Ligi Kobiet? Czy pani nie widzi tutaj żadnego problemu?

Wyszłam od Karowej z ciężkim sercem. Na każdym kroku człowiek spotyka niespodzianki. Mówimy i piszemy o odbudowie kraju. Myślimy o domach, szpitalach, fabrykach. Trzeba myśleć także o człowieku. Nie mogłam zapomnieć twarzy tego chłopca.

W domu zastałam Ewę.

— Szczęście, mamusiu, że przyszłaś. Ciężko mi.

— Co się stało?

— Spotykają mnie przykrości. W jednym domu wygoniono mnie.

— Dlaczego?

— Robią różne aluzje. Moje pochodzenie ich drażni.

Dziewczyna się rozpłakała.

— Ewuniu, usiądź. Nie wolno przejmować się oszczerstwami, plotkami, zazdrością. Jesteś ładna, ślicznie śpiewasz. W pracy cię chwalą. W życiu tak jest, że jedni będą cię cenić, szanować, a drudzy kamieniami walić.

Uspokoiłam Ewę. Żeby zawrócić jej myśli na inne tory, zapytałam:

— Co z twoim chłopcem?

— Chodzi ze mną.

W kilkanaście dni później Ewa przyszła do mnie z chłopakiem. Miał na imię Zbyszek. Zrobił na mnie korzystne wrażenie. Był wysoki, postawny i elegancki. Umiał ładnie rozmawiać. Zainteresowały go obrazy i od tego zaczęła się nasza rozmowa. Nie umiałam początkowo określić jego zawodu. Ewa mi powiedziała, że jest chemikiem. Kazałem jej iść do kuchni i zrobić herbatę. Uznałam, że należy przystąpić do zasadniczej sprawy i zaczęłam prosto z mostu:

— Pan się chce ożenić z Ewunią?

— Po to przyjechałem. Ewę bardzo kocham.

— Czy pan wie, że Ewunia jest moją przybraną córką?

— Tak, powiedziała mi to.

— Ale niech pan nie myśli, że Ewuni nie uznaję za rodzoną córkę. Co będzie w mojej mocy, zawsze wam pomogę.

Uzgodniliśmy, że wezmą ślub cywilny, jeśli im się uda, to w końcu października, a jeżeli nie, to w styczniu. Ewa chciała mieć ślub kościelny. Zbyszek trochę się krzywił, ale ustąpił. Miałam dziesięć rubli w złocie. Dostałam je od Górskiego w Szczecinie. Kiedy mi je dawał, powiedział: należy mieć jakiś kapitał na czarną godzinę. Przydał mi się teraz ten kapitał, chociaż nie była czarna godzina. Było mi miło powiedzieć: zrobicie sobie z tego obrączki.

Ewunia odprowadziła Zbyszka na stację, a po powrocie zapytała:

— No, jakie masz o nim zdanie?

— Myślę, że ci się życie dobrze ułoży.

— On mi się bardzo podoba.

— Tylko ci się podoba?

— No, nie tylko.

— Poznawać się będziecie przez całe życie.

— Strach mnie ogarnia na myśl o wizycie u jego rodziców. Ale jechać trzeba. Jak radzisz, zabrać jakieś podarki?

— Według mnie, nie. Najwyżej kupisz kwiatek.

— Jego ojciec pracuje na kolei. Jest szefem zaopatrzenia, a matka była urzędniczką, teraz pobiera rentę.

— Rodzeństwo ma?

— To jedynak.

Ewa poszła ode mnie do koleżanki. Za kilka minut odezwał się dzwonek. Otworzyłam. Do pokoju wszedł chłopiec „od butelek". Był wystraszony.

— Co ci jest?

Chłopak zaczął opowiadać:

— Stefek mnie wołał, żebym poszedł na „solo". Żeby to on sam był, to by mnie nie wołał. Nie jestem żyła, dałbym im dychę, ale wczoraj list dostaliśmy od brata. Prosi o 30 złotych, żeby mu przysłać do wojska, to mam z nimi przepić? Niech mnie pani nie wyrzuca, bo mi mordę skręcą.

Wierzyłam i nie wierzyłam. Zjedliśmy kolację. Początkowo chciał, bym mu pozwoliła spać na korytarzu. Trochę się śmiałam, trochę krzyczałam. Wykąpał się, włożył bieliznę syna. Przynieśliśmy kozetkę do kuchni. Po raz pierwszy cieszyłam się, że w oknach mam kraty.

— Jak ci na imię?

— Henryk Zioba, mieszkam na Werdyńskiej 10. Ho, ho, jeszcze nie miałem tak fajnego dnia, jak ten, co panią spotkałem. Położyłem na stół dwa bochenki chleba, kilo cukru i dwadzieścia deko masła. Ojciec krzywi swój ryj. Co się pani tak patrzy na mnie, jak szczerbaty na suchary?

— Co z ojcem?

— Ano nieczynny od dwóch lat.

— Heniuś, nazwij tę chorobę.

— A, nie wiem, nogi ma bez ruchu. Matka mu usługuje. Ręce sztywne, ino palcami rusza. Gęba wykrzywiona. Oczy, tylko oczy mu wirują.

— A mówi?

— Mama się dogaduje, ale ja to tylko mu kiwam.

— To jest paraliż.

— Tak mówią. Mam trzy siostry. Dwie młodsze ode mnie, bliźniaczki. Starszej stuknęła piętnastka, ładna!

— Do ciebie podobna?

— A może. Mama na nią gdera, a ino jak ją zobaczy, chlipie, aż mnie złości. Jolka wraca pogryziona i wyszczypana, a w torbie nie ma co liczyć. Żadnemu nie plunie w oko, bo ją pociągnie i zamroczy.

Mimo że znam życie, nie wyobrażałam sobie, że chłopiec w wieku trzynastu lat tyle już doświadczył.

A co ty?

— A co tam ja! — Drugi rok zaliczam piątą klasę. Nie posunę dalej, bo mam same „cyngle". Tego nic nie ruszy. Pędzą mnie.

— Co to znaczy.

Nie odpowiedział. Ziewnął i przytulił się do poduszki. Pogładziłam mu głowę. Momentalnie zasnął. A może spryciarz udaje?

Gdy rano weszłam do kuchni, on już siedział ubrany. Chciał iść.

— Zjemy śniadanie — powiedziałam. Co byś na to powiedział, gdybym cię wysłała do Radomia, do szkoły z internatem. Kolegom byś znikł, a po zakończeniu „siódemki" wybrałbyś sobie jakiś zawód.

— Chciałbym być elektrykiem.

— Pojedziesz do Radomia?

— Pani załatwi?

Po śniadaniu umknął. Ale przedtem zdążyłam dokładnie się wypytać, gdzie mieszka. Poszłam tam. Był to drewniany, rozwalający się dom. Mały ogródek. W sieni koza i dwie kury. Ojciec leży. Matka w moim wieku, a robiąca wrażenie staruchy.

— Ano pani, w wojnę gonił, gonił, dwa razy go pobili, a że lubił wypić, zaczepił się o samochód.

Poszłam do Komitetu Pomocy Społecznej. Ojcu przyznano rentę w wysokości 360 złotych. Heniusia po tygodniu zawiozłam do Podstawowej Szkoły przy Zakładzie Wychowawczym w Radomiu. Co do Jolki, trudniej było się z nią dogadać. Matka wyraziła zgodę i TPD wysłało ją do specjalnego zakładu.

Jednak na ślub Ewy do Częstochowy nie pojechałam. Jako matka przygotowywałam przyjęcie. Skromne, bo osób nie zaprosiłam wiele. Wyszłam po młodych na stację i tu zetknęłam się z rodzicami Zbyszka. Co o nich myśleć. Ojciec był więcej serdeczny.

Nasza Baba rozczulająco powitała młodą parę — chleb, sól, szampan. Korek od butelki wyskoczył głośno, puknął w sufit.

— Słuchajcie mnie, dzieci. Ani kropli, ani kruszyny waszego szczęścia nikt wam nie odbierze...

Baba — promieniała. Baba stała się dla mnie — matką. Baba na przyjęcie przyniosła też te smażone kołduny. Baba — młodą parę wprowadziła do pokoju i od siebie wręczyła Ewie kryształowy wazon, a Zbyszkowi krawat.

— Uzupełnijcie wzajemne swoje potrzeby.

Kochana Baba, była bardzo doświadczonym człowiekiem, a równocześnie skromnym. Siedziałam przy matce Zbyszka.

— Nie musiałby się dorabiać od łyżki czy miski. Piętrowa kamienica, duży ogród, a Tarnów nie jest takie liche miasto, jak Jędrzejów. Nie dał sobie syn wytłumaczyć. A tamta według mnie jest fajniejsza.

No i zdawałoby się, że wszystko zagrało, a tymczasem życie lubi sobie z człowieka drwić. Nie powinnam się tego od matki i to na uroczystości weselnej dowiedzieć.

Weszło trzech nowych gości. Franek Kucybała, Józef Maślanka i Zygmunt Bieszczanin. Nie proszeni, a tak oczekiwani. Każdy z nich ucałował rękę Ewuni.

— Życzymy dużo, dużo szczęścia.

— Agato — powiedział Franek. — Jedziemy do Pińczowa. Przyszliśmy, żeby cię zabrać. Będzie tam zjazd, przecież musimy uczcić „Republikę Pińczowską".

— Nie mogę, Franku. Jutro mam konferencję.

— Należysz do ZBoWiD?

— Nie.

— Dlaczego?

— A cóż ja takiego zrobiłam? W lesie mnie nie było, rewolweru nie nosiłam...

— Kobieto, ilu ludzi zawdzięcza ci życie! Byłaś łączniczką.

— Franek, to był mój obowiązek.

— Musisz się zapisać.

(Fragment powieści „Szara myszka" przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Łódzkim).

MROŻEK W KURNIKU

Właściwie chciałoby mi się pisać tylko o jednej z trzech jednoaktówek Mrożka z tego wieczoru w Teatrze Jaracza — o „Serenadzie". Najzgrabniejszej, najlepiej skonstruowanej i wreszcie — pikantnej. Ale wieczór jest wieczorem, trzeba by odnieść się do całego układu, nie można oto, tak sobie, zapomnieć, że grane są jeszcze „Lis aspirant" i „Polowanie na lisa". Więc jak z tym układem?

Może błądzę, ale nie bardzo mi się to wszystko razem składa. Gdyby stosować się do propozycji Mrożka, na miejscu drugim powinna stać inna jednoaktówka, a mianowicie „Lis filozof" — w takiej przynajmniej kolejności były drukowane. I w takim układzie mają chyba nieco większy sens: Lis zwycięzca, Lis oszwabiony, Lis zniszczony. Poza tym — jednoaktówka o Lisie — filozofie lepiej się i sprawniej pointuje, jest bardziej zaskakująca, a i nie tak przemądrzona, jak ta o aspirancie. Jednakże bardzo szybko się zdezaktualizowała, czy też przeciwnie — nabrała przypadkowo cech pozornej aktualności, więc zdecydowano się na wymianę. Czy tak, czy tak podmiana filozofa na aspiranta nie najlepiej zrobiła logice całości. Dlatego też, ożywieni pierwszą częścią, wychodzimy jednak z teatru lekko znużeni, a chyba i zawiedzeni.

Wróćmy do „Serenady". Daje w niej Lis popis demagogii; jest to majstersztyk sztuki przekonywania. Poczynania Lisa, który zamierza wykraść z kurnika kury pod okiem koguta, obserwujemy i rozbawieni, i — jakby to powiedzieć — pełni ochoty do brania nauk. Sceny są w miarę sexy, kurki w nocnych koszulkach, więc sądzimy, że o to tylko chodzi. Aż następuje krwawa pointa. Można sądzić, jak kto woli, że Mrożek przesadził, że niepotrzebnie pikanterię zmienił w jatkę. Ale ja nie myślę, aby to był tylko chwyt dramaturga, ot, chwyt z jakichkolwiek, aby tylko mogła opaść kurtyna. Ten ton grozy — czy nie jest potrzebny po to, abyśmy się zastanowili nad podziwem, jaki żywiliśmy dla kazuistycznego kunsztu lisa?

Świetnie się w tym przedstawieniu sprawdzają aktorzy prowadzeni reżysersko przez Mikołaja Grabowskiego. Nie tylko zresztą w „Serenadzie" (gdzie obok Lisa — Janusza Peszka, mamy apetyczne i mądre aktorsko kurki: Blond — Bogusławę Pawelec, Brunę — Annę Musiałównę i Rudą — Różę Chrabelską oraz Koguta — Bogumiła Antczaka), ale w całym przedstawieniu. O ile jednak w „Serenadzie" wysiłek aktorski przynosi efekt, to w częściach pozostałych sprawia na mnie wrażenie bezproduktywnego. Tak, jakbyśmy obserwowali pracę zegarmistrzów konstruujących z niebywałą maestrią, precyzyjnie a i z polotem, piękny zegar po to, by klient stwierdził, że owszem, każda z części jest wykonana dokładnie, jak trzeba, i tkwi na swoim miejscu, ale zegar nie chodzi... Więc?

Tekst „Lisa aspiranta" wydaje mi się po prostu nudny, nieciekawy, nadęty i aż szkoda, że precyzyjna robota Peszka idzie na marne, a znów „Polowanie na lisa" składa się z powielanych po wielekroć chwytów dramaturgicznych autora — i także w końcu nuży. A przecież i tutaj są ładne role Włodzimierza Kwaskowskiego — Paralityk, Ryszarda Sobolewskiego i Andrzeja Jędrzejewskiego — Ogary, Ex-Króla i Ex-Hrabiego — Kazimierza Iwińskiego i Bohdana Wróblewskiego, Wodzireja — Macieja Małka, czy wreszcie Koguta — Mariusza Wojciechowskiego i Popychacza — Jacka Chmielnika. Nie ma tu błędów aktorskich — wszystko jak w zegarku, nie ma chyba błędów reżyserskich. Praca Mikołaja Grabowskiego wydaje mi się precyzyjna i konsekwentna — więc chyba sam autor zamknął się tym razem w kurniku i stał się kogutem, zamordowanym przez lisa własnego pomysłu.

JERZY KATARASIŃSKI

S. Mrożek, „Polowanie na lisa", Teatr im. S. Jaracza w Łodzi. Reżyseria: M. Grabowski, scenografia: Iwona Elżbieta Dietrych, oprac. muzyczne: Piotr Hertel (wg utworów Antonio Vivaldiego). Premiera — 9.VI.1979 r.

Sławomir Mrożek „Polownie na lisa".

AKLAMACJA

Dawniej, przyznaję, życie artystów było prostsze. Podniosłe strofy były wszeptywane poetom w uszy przez muzy, anioły i inne wyższe byty patronujące aktom tworzenia. Jeśli zamiast dobrego utworu powstał przeciętny, obciążało to wszeptywacza, który akurat nie miał formy. Teraz, kiedy już ujawniliśmy szerokiemu odbiorcy, że wiersz jest rezultatem katorżniczej pracy — odpowiedzialność zań spada tylko na artystę.

Poezja dzisiejsza jest doskonale wielokonwencyjna. Wydaje się jednak, że sformułowana ongiś przez jednego z naszych Wielkoludów zasada, aby *odpowiednie dać rzeczy słowo*, stoi ponad poetykami.

Trzeci tomik Stanisława Nyczaja *Głos w dyskusji* jest, tak w meritum jak i w wersyfikacji, podporządkowany wzorowi wypracowanemu przez tzw. nową falę. Nawiasem mówiąc publicystyka plus słownictwo wchodzące z sobą w stałe związki frazeologiczne, to odkrycie Skamandra sprzed przeszło pięćdziesięciu laty, bardzo więc już trącące myszką.

Tomik, czego się jeszcze nie rzekło, a co już niezbicie wynika z poprzednich sformułowań, ma charakter wypowiedzi pokoleniowej. Pokoleniowy jest również otwierający go wiersz *W dedykacji naszym czasom*. Pisze Nyczaj:

Jest jak jest
To nieprawda
Jest dobrze tak jak jest
(...)
Historia nam nie wadzi
Już nas nie przytłacza
Jesteśmy pochłonięci wielkimi sprawami.

Dalibóg, nie rozumiem. Właśnie poezja uczyła nas, że „wielkie sprawy" wiążą się jakoś z historią.

W tymże wierszu marzy się Nyczajowi ktoś, *kto względność przewątpi*. Nie podaje nam poeta jednakże, jakie będą owego *przewątpienia* konsekwencje. Ponieważ nazwisko Einsteina pojawia się tu obok nazwisk Euklidesa, Łobaczewskiego i Newtona, czytelnik ma prawo sądzić, że o ich odkryciach wie poeta tylko tyle, co przeciętny inteligent-humanista:

W tymże wierszu Nyczaj stwierdza autorytatywnie:

nawet kobiety
gardzą lirnikami

I znowu nie rozumiem owego zdziwienia, że *nawet*. Za dawnych dobrych czasów panie filisterki i panowie mydlarze gardzili wprawdzie *poetą wyklętym*, ale ten się nie przejmował, lecz również *motłochem* gardził. Lirnikami (czemu Nyczaj posłużył się tym eleganckim anachronizmem, nie wiem) raczej się nie gardziło. Jeśli zaś za oznakę tego uczucia weźmiemy niechęć do wiązania się z tymiż świętym węzłem małżeńskim (zawód, czy jak kto woli, powołanie poety dopiero ostatnimi czasy tak się sfeminizowały) — celowały w owej niechęci właśnie panie.

Cytowany tu wiersz jest bez wątpienia najsłabszy i najmniej przemyślany z całego tomu. Najdobitniej wskazuje jednak, że poeta nie w pełni panuje jeszcze nad słowem.

Konwencja, której się przypisał, każe czytelnikowi wierzyć, że świat przedstawiony w wierszu jest w jakimś stopniu odbiciem naszej rzeczywistości. Tymczasem w utworze *Nasz las* czytamy:

Las wymarzony przez nas
Dopiero cośmy go zasadzili
a on już stoi
smukły podniebny
na długo przed planowanym terminem
Oto gałązki drutów
tworzą splot najwyższego piękna
Na jednej z nich niemal
nie przysiadł spóźniony ptak

Katastroficzna wizja i, co za tym idzie, lęki Nyczaja, gdy sobie uprzytomnimy, jak wygląda wielka technika w polskim mieście średniej wielkości, przypomina mi, proszę wybaczyć, lęki starej babci przed rowerem. Chyba że przyjmiemy, iż utwór ma charakter futurologiczny, ewentualnie, jeżeli kto woli, proroczy.

Nyczaj uwierzył w nieomylność *nowej fali* i przejął, nie zawsze zgodne z własnymi predyspozycjami, wypracowane przez nią dogmaty. A w sztuce tak już niestety jest, że gdy wszyscy mówią to samo i o tym samym, to dematerializuje się artysta.

Tytuł książki jest dezinformujący, boć to nie żaden *głos w dyskusji*, lecz aklamacja. A szkoda. Szkoda tym większa, że w książce znajdują się wiersze (m. in. *Monolog generała Franco*) świadczące o niemałym talencie poety. Jeśli Nyczaj chce wykorzystać swoje możliwości, musi zrozumieć, iż rasowy poeta po wielekroć winien przyglądać się słowom, aby wybrać spośród nich te akuratne, te nie do zastąpienia.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Stanisław Nyczaj, Głos w dyskusji. Łódź 1979, „Biblioteka Poetycka".

NA MARGINESIE PEWNEGO WYWIADU

Pan Redaktor Janusz Gazda, szef Naczelnej Redakcji Filmu Fabularnego TVP, przyjął reporterów „Pegaza" udzielając im wywiadu. Pytania zadawano z prawa i z lewa — Redaktor Naczelny bowiem siedział (i nie tylko siedział) pośrodku. Omówił dotychczasowe osiągnięcia, wskazał na niedostatki, z optymizmem nakreślił perspektywy na przyszłość. Największym sukcesem TVP w ostatnich miesiącach — co podkreślił — był fakt, iż telewizja mogła zaprezentować kilka seriali kolejno po sobie.

I wszystkie one cieszyły się ogromną popularnością, większą, w wielu przypadkach, niż seryjne filmy zachodnie — też podkreślił. Potwierdzają to badania, z których wynika także, iż seriale te uzyskały na ogół oceny bardzo dobre i dobre. Sceptyczna mina Anny Wójcik, wysłanniczki „Pegaza", nie speszyła rozmówcy. Oczywiście — dodał — zdania krytyki były podzielone (niezastąpiony w takich przypadkach eufemizm) — ale przecież nie robimy filmów dla krytyków. Dociekliwi dziennikarze pytali także o pozaseryjny film fabularny powołując się na znakomite przykłady z przeszłości. Co aktualnie? Okazuje się, że prawie nic. „Przyczyny są złożone, niemniej jednak"... itd. Główną troską tv i głównym zamierzeniem filmowym będą seriale. Tu liczne tytuły.

Wywiad ten był jeszcze jednym przykładem dobrego samopoczucia wynikającego ze statystyk („badań" — słowo kluczowe w telewizyjnych autoocenach), które, notabene, sama tv inspiruje. Tu przypomina mi się następujący fakt. Otóż przeprowadzono badania ankietowe na temat czytelnictwa w określonym kręgu potencjalnych odbiorców literatury. Wyniki byłyby bardzo pozytywne, gdyby nie drugi etap tych badań. Tu ankietowanymi byli studenci pochodzący z rodzin, wśród których prowadzono socjologiczny wywiad w pierwszym etapie. Na pytanie czy rodzice czytają książki, większość odpowiedzi była przecząca. Co wynika z tej weryfikacji? To mianowicie, iż respondent często poddaje się sugestii pozytywnego — chciałoby się rzec — oczekiwanego przez ankietera, efektu badań. W przypadku studiów nad publicznością telewizyjną nawet nie to jest najważniejsze. Istotne jest to, że jakiekolwiek cyfry i dane statystyczne nie wyeliminują pytań o to, jakie treści i jakie idee oglądanego filmu zostały przez widzów odebrane, z czym widz się utożsamia, co odrzuca. Co sprawia, że serial uzyskuje oceny dobre i bardzo dobre. Nawet najlepiej sformułowana ankieta Ośrodka Badań Opinii Publicznej na te pytania nie odpowie. I nie ma co pocieszać się tym, że „Układ krążenia" czy „Życie na gorąco" zgromadziły przed odbiornikami 80 procent telewidzów. Jakikolwiek film czy odcinek serialu nadany w sobotni lub niedzielny wieczór będzie miał równie liczną widownię. Zresztą mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem rynku producenta, monopolisty, który pozbawia klienta możliwości wyboru. Chcesz to oglądaj, nie chcesz nie oglądaj a i tak miliony będą wpatrywać się w mały ekran.

A że polskie seriale mają większą widownię niż te sprowadzane za dewizy? Świadczy to jedynie o tym, że istnieje ogromne zapotrzebowanie na fabuły związane z codziennymi realiami życia w tym kraju, tu i teraz, z jego historią i tradycją, z tym co jest ważne, czym żyjemy i oddychamy. Wcale nie muszą to być rozmaici „ścigani", demaskatorzy międzynarodowych mafii, pseudoatrakcje i pseudosensacje. Autentyczny sukces „Dyrektorów", popularność „Śladu na ziemi", „Daleko od szosy" są — jak sądzę — właściwą nauką dla filmowych decydentów w TVP. Tak jak właściwą nauką jest totalna porażka „Życia na gorąco" i „Układu krążenia" o czym zadecydował nadmiar scenariuszowych pomysłów. W drugim przypadku tani dydaktyzm, niekiedy moralnie dwuznaczny, (to „zasługi" scenariusza) skojarzony z niby refleksyjną, bogatą w zadumy narracją („ambicje" reżysera) dał efekt nużący i nieprawdziwy.

Dotychczasowe doświadczenia polskiego filmu telewizyjnego w tym także seryjnego wyraźnie wskazują, iż o estetycznej wartości, tego co na małym ekranie oglądamy decyduje scenariusz. Myślę tu zarówno o scenariuszu oryginalnym jak i powstałym w oparciu o adaptację dokonań literackich. Klasyka, bujny rozrost współczesnej literatury od reportażu po rozległe fabularnie powieści, liczne debiuty — wszystko to wskazywałoby na nieograniczone wprost możliwości realizacji nowych filmów. Sądzę także, że atrakcyjność telewizji jako środka przekazu, dotarcia do odbiorcy, powinna przyciągnąć potencjalnych autorów i zapewne przyciąga. Co dalej się dzieje z tym potencjałem, jakie korytarze muszą przejść autorzy scenariuszy, do jakich drzwi zapukać, z kim rozmawiać tego już nie wiem. Czytając na ekranach telewizorów nazwiska scenarzystów można dojść do wniosku, że mamy ich w Polsce trzech, a może pięciu. Ale już o to nie pytali Janusza Gazdy wysłannicy „Pegaza".

GRZEGORZ GAZDA

DRZEMKA

„Wielki sen" to tytuł, który maniakom kina i powieści kryminalnej pobrzmiewa czymś bliskim i znanym, lecz trudnym do skojarzenia na pierwszy rzut oka. Dopiero wycieczka do kina wyjaśnia do końca tę dręczącą zagadkę. Chodzi o słynny kryminał Raymonda Chandlera adaptowany w 1946 roku przez Howarda Hawksa z Humphreyem Bogarthem w roli detektywa Philipa Marlowe'a. Te trzy, a raczej cztery nazwiska składają się na kwintesencję bodaj najbardziej znamiennego — obok westernu — obszaru amerykańskiej mitologii. Współpraca tej spółki stworzyła arcydzieło swoistej odmiany gatunkowej filmu kryminalnego, jakim był tzw. „film czarny" w USA lat 40-tych.

Obecnie mamy do czynienia nie z oryginałem Chandlera-Hawksa, lecz ze współczesną, dokonaną powtórnie adaptacją produkcji brytyjskiej, której reżyserem jest Anglik Michael Winner. Powrót do Chandlera jest próbą powrotu do tamtego sukcesu, lecz zmiana perspektywy geograficznej i czasowej wywołała efekt dość blady — jak wszystko, co świeci odbitym światłem.

Klęska Winnera może dziwić, ponieważ współczesne kino z powodzeniem czerpie swą siłę atrakcyjności z tamtej inspiracji. Duch „czarnego filmu" znalazł współczesne odzwierciedlenie w całej serii znakomitych filmów amerykańskich, które niedawno przedefilowały przez polskie ekrany od „Bullita" poczynając poprzez „Francuskiego łącznika" czy „Ucieczkę gangstera" a na „Zabójstwie chińskiego maklera" i „Chinatown" kończąc.

Bowiem problem nie tkwi w dystansie historycznym, który łatwo zlikwidować poprzez uwspółcześnienie fabuły, lecz w odmienności kulturowo-cywilizacyjnej, mimo iż znajdujemy się przecież w obrębie świata anglosaskiego. Tymczasem właśnie na terenie powieści kryminalnej i związanej z nią tradycji różnica ta wyraziła się ze szczególną siłą. Otóż klasyczna powieść kryminalna wiąże się na gruncie wysp brytyjskich z dwoma nazwiskami: Conan Doyle'a i Agathy Christie. Stworzyli oni i rozwinęli rodzaj sensacyjnej intrygi, która była logiczną grą wyobraźni, przysłowiową partią szachów toczącą się pomiędzy wyrafinowanym przestępcą a obdarzonym jasnowidzącym umysłem detektywem. Pojedynek ten odbywał się w scenerii wyizolowanej z jakichkolwiek realistycznych odniesień społecznych, w atmosferze salonowej, „na zamku lorda Pembroke". Tradycję tę, której styl kino jako sztuka oparta głównie na akcji fizycznej a nie intelektualnej nie najlepiej znosiło, złamali w latach 30-tych przede wszystkim trzej pisarze amerykańscy: Dashiell Hammett, James Hadley Chase oraz właśnie Raymond Chandler, a dałoby się tu wymienić jeszcze kilka innych nazwisk. Na czym polegał ten przełom? Może najlepiej zilustrują go dwa cytaty wyjęte z obu typów powieści. „Gram z wami fair. Możecie wziąć udział w wyścigu. Bawię się z wami. Macie wszelkie szanse, aby odkryć prawdę" — oto wyrażone ustami Herkulesa Poirot, bohatera powieści Agathy Christie credo brytyjskiego kryminału. „Jesteśmy ogromnym, bogatym narodem — mówi Philip Marlowe, detektyw Chandlera — a zbrodnia jest ceną, którą za to płacimy; zbrodnia zorganizowana jest ceną naszej znakomitej organizacji, którą rozwijamy od wielu lat. Zorganizowana zbrodnia to właśnie owa brudna strona dolara". Otóż właśnie sens tej przemiany współczesnej powieści kryminalnej, przemiany, która rozegrała się w latach 30-tych naszego wieku polegał na zastąpieniu nieomal abstrakcyjnej intelektualnej szarady zbrodnią zimną, konkretną i groźną. Za tą zbrodnią u Amerykanów stał cały światopogląd, szczególny kodeks obyczajowo-moralny amerykańskiego gangsteryzmu. Zbrodnia była rezultatem niepohamowanych aspiracji i konsumpcyjnych apetytów zrodzonych w społeczeństwie, które sukces materialny wyniosło na szczyt hierarchii wartości. Nowy kryminał stał się powieścią głęboko realistyczną, precyzyjnie odwzorowującą stan rozbitej świadomości społecznej po Wielkim Kryzysie z 1929 roku. Gangsteryzm stał się normalną profesją, tyle że lepszą od innych, bo przynoszącą więcej pieniędzy. Zmienił się również stereotyp detektywa, który z gentelmana-intelektualisty dociekającego prawdy w głębokim fotelu z fajką w zębach przemienił się w „rycerza nocy" buszującego z pistoletem w dłoni w otchłaniach „asfaltowej dżungli". Stoi on w obronie prawa, lecz nie motywacje moralne decydują o jego postępowaniu. O ile gangsterzy żyją z zabijania ludzi, których jedyną winą jest posiadanie pieniędzy, to on żyje z zabijania gangsterów. Jednakże ten cynizm nie znaczy bynajmniej wyzucia czarnego kryminału z egzystencjalnych akcentów. Pisano o tym gatunku jako o współczesnej tragedii, a Andre Bazin w nieco patetycznym szkicu poświęconym Bogarthowi określił jego kreację w roli detektywa „dojrzałością egzystencji, dojrzałością, która nasyca powoli życie uporczywą ironią wobec śmierci".

Otóż — by wrócić do remake'u Winnera — z nowej wersji „Wielkiego snu" posępny klimat moralny i egzystencjalny ulotnił się bezpowrotnie. Winner poświęcił się w większym stopniu odwzorowaniu skomplikowanej fabuły Chandlera aniżeli jej psychologicznym i etycznym implikacjom. Robert Mitchum w roli Marlowe'a zaledwie markuje tę bogatą w odcienie postać, a słynne kwestie-porównania detektywa brzmią w jego ustach drętwo. Jedyną postać, która przypomina chandlerowskie panopticum stworzył Richard Boone w roli gangstera Canino. Reszta jest erzatzem.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE

„Pantokrator" jest trzecią książką Józefa Łozińskiego, młodego (ur. 1945) prozaika wrocławskiego i kontynuuje zainteresowania, których wyrazem była debiutancka *Chłopacka wysokość* oraz późniejszy *Paroksyzm*.

Twórczości Łozińskiego nie można zrozumieć bez znajomości *posępnej urody zdeformowanego zwierciadła sztuki XX wieku* — jego utwory rejestrują dezintegrację świata i przeżywającego podmiotu, przedstawioną rzeczywistość tyleż porządkują, co gmatwają. Bujność narracji, zbyt może niekiedy żywiołowej i rozpasanej, wymaga od czytelnika pewnej wytrwałości — być może niejeden pogubi się w tej mieszaninie relacji, w opowieści snutej z różnych punktów widzenia, ten jednak, który dotrwa do końca lektury, nagrodzony zostanie nietuzinkową strawą duchową. Powiadam: duchową, bo w tropieniu narodzin i rozwoju twórczej, niespokojnej aktywności artystów i kibiców sztuki, proza Łozińskiego niejednokrotnie kojarzyć się może z ujęciami ekspresjonistów. Skojarzeń nasuwa się zresztą więcej — oto sam tytuł wyznacza od razu pewien operujący symbolami trop interpretacyjny. Pantokrator bowiem to termin z zakresu sztuk plastycznych, określający popularne w dziełach mistrzów starochrześcijańskich przedstawienie Chrystusa jako sędziego. W powieści Łozińskiego termin ten użyty został na oznaczenie aspiracji niektórych artystów do totalnej i jednostronnej przy tym oceny współczesnego świata i człowieka.

Wszelako autor zdaje się powątpiewać w „sędziowską" moc sztuki, wyraźnie pokpiwa ze swych bohaterów, których niezbyt adekwatne do możliwości aspiracje oraz wieczne nienasycenie wiodą wyraźnie na intelektualne manowce i na margines społecznego bytowania. Najbardziej groteskowe i przekorne poszukiwania eksperymentalnego teatru NUM okazują się niczym wobec sytuacji, z jakimi stykamy się na teatrum życia. Nawet literatura, dziedzina sztuki wyraźnie w powieści Łozińskiego eksponowana, okazuje się zawodna:

Zadawałem sobie pytanie, do jakiego stopnia można rozpracować język czy dzieło fikcji *literackiej, żeby nie stracić kontaktu z rzeczywistością, co (niestety) było udziałem akademickich nauczycieli i ich gorliwych uczniów, nawet zazdrościłem im wagi i wiary, że taka niewymierna rzecz jak literatura może absorbować całkowicie, ja cały ten skarbiec ludzkiego ducha traktowałem podejrzliwie, za dużo było w nim ślepych szczurów żerujących na ideach i myśli zaszczutych przez świat geniuszy, świat ciągle groźny i czyhający za salą biblioteki na tych, którzy zbyt mocno pragną żyć wyobraźnią. Byłem wytworem tego świata, miałem go w szpiku i cieszyłem się wszystkimi trywialnymi barwami, które rzucał mi w twarz, o wiele bardziej był mi bliższy niż Proustowska rzeka pamięci, ludzie i rzeczy układały się w finezyjny mechanizm, który precyzyjnie odliczał właściwy czas przeznaczenia...*

Wobec zwodniczości sztuki jako ostatecznej instancji rozstrzygającej o życiu jednostki i społeczeństwa, wobec plewienia się prestidigitatorstwa, blazenady, powierzchownego naśladownictwa, pseudoodkrywczości grono bohaterów „Pantokratora" przemienia się w zwykłych hosztaplerów, w cyganerię już nie tyle artystyczną, co knajacką, w komunę, w której najważniejszą cnotą staje się zwulgaryzowany seks.

Podstawową zaś racją bytu literatury okazuje się fascynacja językiem, szukanie ukrytych znaczeń, mieszanie stylów — sądzenie o ludziach ze sposobu ich wypowiedzi. Łoziński przypomina, że podstawowym tworzywem literackim jest język, że od niego zależy praktycznie wszystko. Daje więc próbki różnych odmian polszczyzny, nade wszystko zasię miesza stylistykę Schulza, Gombrowicza i Mrożka z polszczyzną potoczną, z ekspresją językową, jaką nieraz słyszymy na ulicy czy w knajpie.

Bohaterowie powieści Łozińskiego kończą nie najlepiej. I nie ma się specjalnie czemu dziwić, bo u podstaw ich artystycznej czy też pseudoartystycznej aktywności tkwi wyraźna s p r z e c z n o ś ć. Oto ogarnięci są kategorycznym imperatywem poszukiwania autentyczności życia, lecz autentyczności tej szukać chcą wyłącznie w... sztuce. Stąd wyrasta snobizm, paraliżujący po jakimś czasie wolę i umysł, z czego z kolei wynika wulgaryzacja poczucia duchowej wspólnoty, rozpanoszenie się namiastek oraz moralny kociokwik.

Nie znają oni rygorów — intelektualnych, artystycznych, warsztatowych. Egzystują więc trochę na zasadzie wolnoamerykanki: — wszystkie chwyty dozwolone, albowiem sztuka jest dla nich czymś niepojętym i wymagającym nieprzeciętnej odporności. Tych, którzy poczynają sobie w sposób ułatwiony wcześniej czy później czeka najzwyklejsza degeneracja. Można powiedzieć, iż stwierdzenie to posiada *nośność paradoksu Zenona i cięcie brzytwy Ockhama*, ale nie na domniemanej odkrywczości polega jego znaczenie, tylko na wiernej służbie p a s t i s z o w i, jakim w gruncie rzeczy jest powieść Łozińskiego.

Szyderstwa i prowokacje Łozińskiego (nie tylko językowe) odzwierciedlają niepokoje współczesnego artysty, któremu sztuka kojarzy się z czymś więcej niż z efekciarskim eksperymentem czy obiadem w Klubie Związków Twórczych, który poprzez artystyczną działalność chciałby poznać „niezbadane obszary pokrętnych dróg świadomości nowoczesnego homo".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

J. Łoziński. Pantokrator. Ossolineum. Wrocław 1979, nakład 10 000+300 egz., ss. 236, cena zł. 30.—

LOSY LUDZKIE

Pod takim tytułem ukazało się drugie, zmienione i rozszerzone wydanie antologii nowel i opowiadań szwedzkich. Wydanie pierwsze ukazało się w 1965 roku i zawierało 30 utworów różnych pisarzy, poczynając od Strindberga, a na twórcach z końca lat 50-tych kończąc. Wydanie drugie różni się częściowo od pierwszego. Przede wszystkim ze względu na ogólnie przyjęte przez literaturę i krytykę szwedzką datowane dziesięcioleciami debiuty, dorobek pisarzy zaczynających twórczość w latach sześćdziesiątych dopiero mógł znaleźć miejsce w tym wydaniu. Żeby nie rozszerzać zbytnio objętości antologii, autor wyboru zrezygnował z kilku nazwisk dawniejszych na korzyść nowych. Układ antologii jest niezwykle precyzyjny i jasny. Utwory ułożone są w porządku chronologicznym, natomiast na końcu zbioru umieszczone są już w porządku alfabetycznym krótkie noty o pisarzach.

Antologia daje polskiemu czytelnikowi szeroką panoramę dorobku pisarskiego nowelistów XX w. Każdy z pisarzy, którego utwór umieszczony jest w antologii, wydał przynajmniej zbiór nowel, bądź opowiadań.

Cele antologii wydania pierwszego i drugiego różnią się nieco od siebie. W początkach lat sześćdziesiątych, kiedy przygotowywane było wydanie pierwsze, Szwecja nie była jeszcze, tak jak teraz, znana polskiemu czytelnikowi. Te drobne więc utwory, pokazujące życie Szwedów w różnych rejonach geograficznych — od surowej Północy poczynając, na Sztokholmie kończąc — doskonale spełniały rolę prezentera życia codziennego naszych sąsiadów zza Bałtyku. Teraz, kiedy Szwecja należy do krajów najczęściej odwiedzanych przez naszych rodaków, antologia może być pomocna w konfrontacji wrażeń i obserwacji dokonanych u sąsiadów, a jednocześnie przedstawić te aspekty życia Szwedów, do których nie zdołała lub nie zdążyła osobiście dotrzeć.

„Losy ludzkie". Antologia nowel i opowiadań szwedzkich. Wybór, przedmowy i noty biograficzne — Zygmunt Łanowski. Wyd. Poznańskie, Poznań 1979, str. 515, cena zł 70,—

TABU

Timo K. Mukka należy do grupy najbardziej utalentowanych pisarzy fińskich. Urodził się w 1944 roku, w Bollnäs, w Szwecji. W latach 1961—62 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Helsinkach. Jako pisarz zadebiutował w roku 1964. Najbardziej owocny okres jego twórczości przypadł na lata 1964—70. Mieszkał już wtedy w Orajarvi, w Laponii. Timo K. Mukka wiele podróżował, był w Moskwie, w Jałcie, w Sztokholmie, a także na Wyspach Kanaryjskich i w Islandii. W roku 1966 otrzymał państwową nagrodę literacką. Zmarł w Laponii, w 1974 roku, licząc sobie niespełna 30 lat.

Powieść „Tabu" powstała w 1965 roku, jej akcja rozgrywa się na prowincji. Mała wioska, na jej skraju dom. Mieszka w nim młoda wdowa z 13-letnią córką. Mają niewielki kawałek pola i skromny inwentarz. W cięższych polowych pracach pomaga im sąsiad, Chrystian. Chrystian nie cieszy się najlepszą opinią we wsi. Mieszka samotnie, do gospodarstwa nie pozwala nikomu się wtrącać. Jeszcze młody i przystojny nie związany jest z żadną kobietą. Unika ludzi i ludzie nie szukają jego towarzystwa. Ale ponieważ potrafi wszystko zrobić, więc toleruje go. W tej scenerii rozpoczyna się dramat trojga ludzi. Matka i córka zakochują się w Chrystianie, obydwie z nim żyją. Milka jest jeszcze tak młoda, że nie zdaje sobie sprawy, co wiąże matkę z mężczyzną. Matka nie podejrzewa nawet, że córka, która jest jeszcze dzieckiem, ma już kochanka. Powstaje błędne koło, kres kładzie mu mężczyzna. Wyjeżdża i zostawia samotne, nieszczęśliwe kobiety. Od tej chwili wypadki toczą się błyskawicznie. Ale o nich może już z książki, która jest interesująca nie tylko ze względu na ciekawą akcję. Odkrywa także psychikę młodziutkiej dziewczyny, zmieniającej się pod wpływem miłości.

Timo K. Mukka, „Tabu". Tłumaczyła Kazimiera Manowska. Wyd. Poznańskie, Poznań 1979, str. 96, cena zł 18,—

PIĘKNA ZIEMIA

Zbiór opowiadań „Piękna ziemia" jest debiutem książkowym Bogdana Jemielity. Jemielita po raz pierwszy zaprezentował się czytelnikom drukiem opowiadania na łamach „Kultury" w 1967 roku. Kilka innych opowiadań opublikował w „Spojrzeniach" i „Sigmie".

Klimat i wartość treściowa zbiorku „Piękna ziemia" najlepiej obrazuje opowiadanie tytułowe, które chyba nie przez przypadek znalazło się na pierwszym miejscu. Chłop Berbak wraca z nieba na ziemię, ponieważ bardzo tęskni za swoją wsią, chałupą, żoną i polem. Wraca, a tu dom jego zajęty przez obcych ludzi, żony nie może odnaleźć, sąsiedzi go nie poznają. Nie ma się gdzie podziać mieszka w starej szopie, żywi się warzywami uzbieranymi w polu. Wszyscy mu współczują, ale nie mogą pomóc. Rozumują logicznie, że ktoś, kto raz umarł nie ma prawa pokazywać się na ziemi po raz wtóry, nie mogą zrozumieć, że opuścił piękne i szczęśliwe kraje, bo tęsknił za swoim polem i ciężką pracą. Zbliża się zima, Berbak umiera po raz drugi i pochowany zostaje na cmentarzu obok swojego pierwszego grobu i żony.

Wszystkie opowiadania Jemielity posiadają nieco odrealnioną akcję. Wspólny jest im także nastrój niepokoju i obsesji śmiercią, chwilami można się w nich dopatrzeć wpływu Kafki.

W sumie debiut udany młodego pisarza i z pewnością życzliwie będzie przyjęty przez czytelników.

Bogdan Jemielita „Piękna ziemia" — Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1979 r., str. 154, cena zł 13.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POTRZEBA DOBRYCH OBYCZAJÓW

Do tego doszło! Okazało się, że istnieje pilna potrzeba dobrych obyczajów! W czasach powszechnej gruboskórności i niewyszukanych manier — telewizja zaczęła nas uczyć dobrych obyczajów. Widać tak trzeba. Wszyscy z grubsza wiemy jak jeść odsmażana kaszankę, ale jak elegancko zjeść homara? I właśnie tego nauczy nas miły pan z telewizji.

Oczywiście — mówiąc poważnie — zamysł telewizji ma głęboki sens. Wpływ tego środka przekazu na obyczaje jest olbrzymi — najczęściej, niestety, nie jest to wpływ pozytywny. Wzorce polszczyzny, ubioru i zachowań ze szklanego ekranu przenoszą się do milionów mieszkań i umysłów... Aż ciarki przechodzą na myśl, co będzie, gdy wszyscy zaczną mówić tak kulawo, jak **pani Guca ze „Studia 8"**.

Potrzeba dobrych obyczajów jest sprawą pilną i chwała telewizji, że to dostrzegła u nas. Jeśli jeszcze dostrzeże u siebie — szczęście nasze będzie zupełne.

Dotychczas bowiem panuje tam styl, który **Andrzej Zaorski** określa mianem „elegancja—Francja". Oto siedzą w studio dwie panie — pisarka dla dzieci **Wanda Chotomska** i autorka tekstów dla nieco starszych **Agnieszka Osiecka**. Raptem zasłużona poetka wyskakuje z takim zdaniem: **„Irytują mnie te straszne panie piszące dla dzieci..."** Chotomska zachowała klasę. Nie powiedziała, że irytują ją te straszne panie piszące dla piosenkarzy.

Powie ktoś, że to przejęzyczenie, niezręczność i w ogóle drobiazg. Być może, ale jednak to przede wszystkim potrzeba dobrych obyczajów. Rzecz bowiem nie w tym, że Osiecka nie ma racji — rzeczywiście literatura dla dzieci nie jest u nas genialna. Ale można to powiedzieć bez epitetów i niegrzeczności.

Inny pan zajmujący się upowszechnianiem naszej kultury wśród Polonii, też występuje w stylu „elegancja—Francja". Padają gęsto zwroty „proszę p a n i ą", ale nie do tańca, tylko zamiast poprawnego „proszę p a n i". Na koniec pan od kultury częstuje nas takim zdaniem: **„Polonia już dobrze wie kto to b y ł Lutosławski"**. No proszę! **Witold Lutosławski** słucha tego w telewizji i dowiaduje się, że jest już b y ł y.

Ktoś kiedyś napisał parodię przekrojowego „savoir vivre'u" **Jana Kamyczka**. Było tam mniej więcej tak: **„Pan Kowalski na mój widok spluwa i przechodzi na drugą stronę ulicy. Czy to oznacza, że żywi do mnie jakąś urazę?"**.

Żart żartem, ale ludzie naprawdę nie zawsze wiedzą jak się zachować, co powiedzieć. Książkowe wydania porad **Jana Kamyczka** były w swoim czasie bestsellerami i zapewne byłyby nimi także dziś. Ludzie są bowiem skołowani zmiennością obyczajów — nie zawsze potrafią odczytać ironiczny podtekst i kpinę. Małomiasteczkowa elegancja ubioru **porucznika Kojaka** i odgięty mały palec, gdy nasz ulubieniec bierze do ręki filiżankę kawy — iluż widzów weźmie to za wzorzec, a nie za łagodną kpinę reżysera?

Więc skąd mają ludzie wiedzieć, co jest śmieszne i nieeleganckie, a co poprawne i eleganckie? Ta sama telewizja która — chcąc nie chcąc — propaguje wzorce wątpliwe, bierze się teraz za naukę obyczajów. I tak być powinno. Skoro w ciągu jednego dnia prezentuje się taką masę sprzecznych ze sobą wzorców zachowań — niech jeden przynajmniej program prezentuje nam jakąś n o r m ę.

Nie jestem co prawda taki naiwny, aby uwierzyć w uzdrawiającą obyczaje moc telewizji. Ale sporo naprawić można przy jej pomocy. Oczywiście nie zmieni się tego co jest wynikiem głębszych procesów demograficznych, migracyjnych, socjologicznych, społecznych... Mechanizmy życia są takie, że łagodność, tzw. dobre serce i tzw. staroświecka przyzwoitość — nie popłacają. Nikt ich, rzecz prosta, z kodeksu nie wykreślił, ale codzienne życie i powszednia praktyka na każdym kroku udowadniają nieprzydatność takich anachronicznych cech.

I tak to jest z obyczajami. Kodeks swoją drogą — a życie swoją. Podobnie jak w telewizji. Poradnik dobrego wychowania z jednej strony — z drugiej zaś mordujący polszczyznę prezenter i dłubiący w nosie komentator. Samo życie!

WIDOK

LEWYM OKIEM PO RAZ 700

BEZ TYTUŁU

Najpopularniejszy przed wojną, najbardziej masowo czytany felietonista, Zygmunt Nowakowski, stały współpracownik słynnego krakowskiego Ikaca, pisał o tym rodzaju działalności publicystycznej tak:

„O jedno możesz być spokojny: tematu nie braknie ci nigdy! Powiedziałem, że jesteś natrętnym lejkarzem ulicznym. Lecz to dopiero początek kariery, po upływie bowiem jakichś dwóch, trzech lat, nie lejkarz, ale głupstwo staje się natrętne. Dostarcza ci auta, abyś przeprowadził wizję lokalną. Zawala ci stół tematami, rzuca stos listów, anonimów, donosów, insynuacji, skarg. A gdy wyjdzie jakaś niemądra książka, otrzymujesz ją z dziesięciu stron — i wcale nie musisz czytać, ponieważ nadawcy zrobili to za ciebie: przysyłają książkę z pozakreślanymi ustępami, pełną uwag, gloss na marginesie. Przychodzisz do gotowego".

Nie jestem pewien, czy wszyscy Czytelnicy wiedzą, co to takiego „natrętny lejkarz". Pełno było takich na wielkomiejskich ulicach, w parkach, na deptakach: podnosili do oczu błyskawicznym ruchem malutki aparat fotograficzny, Leicę, i robili nieoczekiwane, nie pozowane zdjęcia przechodniom. Dziś wygląda to trochę inaczej, wtedy lejkarze byli naprawdę natrętni, przepychali się wzajemnie, naprawdę też robili zdjęcia ryzykując zmarnowanie się kliszy Zdaniem Nowakowskiego — felietonista jest takim właśnie łowcą nie pozowanych obrazków; łowcą natrętnym i ryzykującym ujęcia nietrafne, banalne, bez sensu – a także i takie, którymi nikt się nie zainteresuje.

Ale — wciąż zdaniem Nowakowskiego — to tylko początkujący felietonista jest takim ulicznym bidulą. Po upływie dwóch, trzech lat...

Niniejszy felieton jest moją siedemsetną publikacją na tym miejscu. Siedemset razy w tygodniku — i to wciąż w tym samym — to znaczy przecież, że upłynęło już nie „dwa — trzy lata", tylko nieomal piętnaście. Czy zastaję stół zawalony „stosem listów, anonimów, skarg?" Czy choć raz przysłał mi ktoś książkę „pełną uwag i gloss na marginesie"? Czy — łza się kręci — „dostarczył ktoś auta, abym przeprowadził wizję lokalną"?

Mnóstwo ludzi dzisiaj „pisze do gazet". Ale są to ci, którzy chcą żeby ich drukować, oczywiście za odpowiednim honorarium. Prawie nikt nie pisze po to, żeby z redakcją porozmawiać, zwrócić na coś uwagę, podtrzymać jej stanowisko lub mu się kategorycznie sprzeciwić. Jeszcze tylko redaktor Wilmański zaczyna czasem felieton w „Głosie" lub w „Karuzeli" od tego, że właśnie otrzymał list. Być może, jest to jeszcze jedna figura stylistyczna. Jeszcze są różne obnażania serc ludzkich i pytania na temat życia rodzinnego po rozwodzie, w których jakże łatwo nieraz dostrzec grube ściegi redakcyjnej mistyfikacji. Prawdziwych, spontanicznych listów czytelnicy łódzcy prawie nie piszą i nie wiem, dlaczego tak jest. Czy wokół nas, łodzian mniej jest irytujących głupstw niż gdzie indziej, czy nie spotykamy się z niemądrymi książkami, przepisami, instrukcjami — czy też nic nas one nie obchodzą, dopóki nie dotkną jakiejś najbardziej osobistej struny? A może jest ich tak dużo, żeśmy się znieczulili, zobojętnieli, machnęliśmy ręką?

Nie są to zbyt optymistyczne supozycje, ale chyba bliskie prawdy, jak i ta, jedna jeszcze: zbyt słabo wierzymy chyba w celowość i skuteczność publicznego nicowania dokuczliwych czy choćby tylko śmiesznych zjawisk naszej rzeczywistości. Cytowany tu Nowakowski pisał na innym miejscu o tym, jak trudną, szarpiącą nerwy i absorbującą całego człowieka jest praca dziennikarza, ale także i o tym, jakie satysfakcje daje stwierdzenie właśnie skuteczności tej pracy. Podawał z dumą przykłady, ile to spraw dzięki jego felietonom zostało naprawionych, stało się przedmiotem zainteresowania publicznego. Czy po paru latach publikowania felietonów w dzisiejszej naszej prasie mógłby napisać coś podobnego?

Po raz siedemsetny pstrykam swoją leicą. Wciąż na etapie łowcy nie pozowanych motywów, zwijam się jak mogę, pstrykam i pstrykam, przechodnie idą dalej, samochody jadą, tramwaje stoją bo awaria. Czy moje malutkie, jednoosobowe przedsiębiorstwo będzie wreszcie musiało ogłosić bankructwo?

ĆWIEK

P.S. Gwoli ścisłości chciałbym zawiadomić Szanownych Czytelników, że felieton p.t. „Egzemplarz okazowy", zamieszczony w numerze 20 „Odgłosów" z 20 maja br., dotyczy Domu Towarowego „Central", a nie „Centrum", jak podałem w tekście. O ile wiem, Dom Towarowy „Centrum" w Łodzi nie istnieje, natomiast „egzmplarze pokazowe", o których mowa w felietonie zdarzyły się naprawdę.

PROPOZYCJE

PRZYSZŁO LATO

Mieliśmy zimę stulecia i wszystko wskazuje na to, że będziemy mieli lato stulecia. Wprawdzie nie była to pierwsza zima stulecia w tym stuleciu, ale dzięki temu można przewidywać, że może nastąpić lato stulecia, bo tak właśnie było poprzednio. Do końca naszego wieku pozostało nam jeszcze trochę zim i lat, a także wiosen i jesieni, można więc będzie drogą żmudnych obserwacji dojść do pewnych prawidłowości. Trzeba będzie tylko kolejne zimy stulecia oraz lata stulecia numerować. Na przykład „lato stulecia 3".

Lato stulecia, a nawet lato półwiecza, bo i taką nomenklaturę można wprowadzić, rozwiązuje wiele problemów. Wprawdzie ludzie w takie lato wolą wyjeżdżać na urlop dalej od miast, co znacznie komplikuje życie PKP czy PKS, ale po zmniejszeniu ilości pociągów i autobusów do miejscowości nadmorskich, w góry i nad jeziora wzrośnie ruch samochodowy. Dziś można przeczytać wśród drobnych ogłoszeń, że ktoś ma wolne miejsce w samochodzie jadącym do Szwecji, jutro, że są wolne miejsca w samochodzie jadącym 14 lipca do Gdańska czy Koszalina. Dlaczego akurat 14 lipca tłumaczyć nie muszę, gdyż wszyscy wiedzą, że nasilenie urlopów podróży odbywa się na początku i w środku każdego miesiąca. A poza tym na urlop można pojechać autostopem lub rowerem.

Urlop, niestety, jest krótszy niż lato. Z tego też powodu powstaje niekiedy pytanie, co dalej robić z tak pięknie rozpoczętym latem? Wszyscy zachęcają, aby wolny czas spędzać na świeżym powietrzu. Niektórzy z moich kolegów próbowali nawet tej rady usłuchać. I zgodnie stwierdzili na ostatnim zebraniu zespołu redakcyjntgo, że po pobycie w lesie, czy nad rzeką, boli ich głowa. Przysięgali, że nic nie pili z napoi wyskokowych. Jerzy Rzymowski postawił więc słuszną diagnozę, że po prostu odzwyczaili się od sztucznego środowiska, jakie zastali w lesie czy nad wodą, a przywykli do naturalnego, jakie mają w naszym ukochanym mieście Łodzi. I pewnie ma rację.

— A jeśli lato się nie uda? — zapytał mnie ktoś bardzo rozsądnie, kiedy zachwalałem mu uroki spędzania wolnego czasu na łonie natury. — Co wtedy? Trudno przecież moknąć w lesie lub nad wodą. Żadna to przyjemność. Wręcz przeciwnie. — Wtedy — powiedziałem — pozostaje nam telewizja — i ugryzłem się w język, bo program telewizyjny nie jest aż tak atrakcyjny, aby można go było polecać innym bez żadnych zastrzeżeń.

Co się właściwie stało z programem telewizyjnym? Został on podzielony na sektory, działy i studia. Mamy więc „Studio 2", które nie tylko nadaje w wolne soboty, ale też robi inne programy emitowane w różnych dniach. W zasadzie jednak wiadomo, że jak „Studio 2", to akurat mamy wolną sobotę. Jest poza tym „Studio 8", które też bywa w soboty, ale inne. „Tylko w niedzielę" jest tylko w niedzielę, a „Studio bis" bywa na ogół w poniedziałki. Jest jeszcze „Studio gama", które na ogół bywa w piątki. W czwartki wiadomo albo „Kobra", do której nieustannie brakuje tekstów, albo porucznik Kojak tropi przestępców, a ostatnio niejaki Banaczek opowiada nieznane polskie przysłowia. W poniedziałek jest Teatr Telewizji, we wtorek „Wtorek melomana" i stare filmy. W ogóle program telewizyjny ratują starocie: stare filmy, stare seriale, stare spektakle. Powtórzenia są najsilniejszą stroną programu telewizyjnego.

Były kiedyś: „Kino nocne", „Kino letnie", był dobry obyczaj powtarzania seriali dla tych, którzy akurat pracują na drugiej czy trzeciej zmianie, ale wszystko się skończyło. Chwała Bogu mamy lato i wydawałoby się, że dawno minął szczyt energetyczny, ale radio rano podaje, **że 16 stopień zasilania, 12, 10.**

Jestem gotów nawet uwierzyć, że telewizja emituje gorszy program latem, aby zniechęcić ludzi do siedzenia przed telewizorem i zmusić nas nijako do wymarszu na powietrze. Jestem gotów również uwierzyć, że telewizja świadoma tego, że emituje niedobre seriale, nie chce denerwować widzów ich powtarzaniem następnego dnia o innej porze, ale niektóre seriale nie są takie najgorsze, na przykład, „Ja, Klaudiusz" i nie wszyscy byli w stanie obejrzeć ko'ejne odcinki. Teraz znaleziono właściwy sposób, emituje się je późno w sobotę, że niby takie straszne i żeby je nie oglądali młodociani. To wszystko prawda, tylko program telewizyjny zaczął się psuć znacznie wcześniej niż przyszło lato. A co będzie, jak się lato nie uda?

Pozostaje nam kino, książka, a nawet rozmowa z bliskimi. Z tego jest — zapewniam — większy pożytek niż z oglądania nie najlepszego programu telewizyjnego. Jeśli się więc nam lato nie uda, to nie upadajmy na duchu. Świat nie kończy się na telewizji. Ale nie ma zmartwienia. Lato nam się uda. Wszystko wskazuje na to, że będzie to kolejne lato stulecia. Jaki damy mu numerek?

MARCIN RODAK

Z GALERKI

BOHDAN PORĘBA

Czy Poręba Stanie kiedyś Jeszcze dęba?

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

JAKIE LEKARSTWO?

Kibice piłki nożnej pamiętają decyzję dyrektora zielonogórskiego „Zastalu", który piłkarzy fabrycznej drużyny zapędził do pracy w fabryce, przekreślając tym dotychczasową fikcję. Piłkarze mają akurat urlop, wyludniły się boiska, można więc przypomnieć sobie stare sprawy i zastanowić się, co z nich wyszło? Jest to tym bardziej wskazane, że świadomy kibic wie, iż piłka nożna jest chora. Zastanawia się razem z działaczami sportowymi nad lekarstwami, jakie należałoby zaaplikować chorej. Nie zawsze opinie kibiców i działaczy są zgodne, ale takie jest już życie.

O zielonogórskim „Zastalu" najpierw było głośno, teraz zrobiło się cicho. Do sprawy wrócił jednak „Przegląd Sportowy" i z artykułu Lecha Ufela można dowiedzieć się, że „Zastal" przegrał. Po prostu nikt nie poparł „Zastalu"; Inni uznali, że tolerowanie fikcji jest im wygodniejsze, szukają więc różnych wybiegów, aby ułatwiać życie fabrycznym piłkarzom, gdyż zwalnianie z pracy piłkarzy ligi międzywojewódzkiej jest sprzeczne z przepisami. Ale kto się u nas zbytnio przepisami przejmuje?

Czterech zawodników „Zastalu", którym nie podobała się decyzja dyrektora fabryki, postanowiło opuścić Zieloną Górę, więc im załatwiono etaty, fikcyjne oczywiście, w innych zielonogórskich fabrykach. Od nowego sezonu „Zastal" nie będzie już posiadał sekcji piłkarskiej. Stworzono nowy klub Lechia, w którym nie będzie się wprawdzie szkoliło młodzieży piłkarskiej, ale który będzie miał drużynę piłkarską. Klubem będą się opiekowały przedsiębiorstwa budowlane oraz inne zielonogórskie fabryki. Jak się chce mieć drużynę, to się zawsze znajdzie na to sposób, tym bardziej że już nie chodzi o to, jaka ma to być drużyna, grunt, żeby w ogóle była.

Piłka nożna jest chora. Trzeba ją leczyć. Ale jak? Na to pytanie padają różne odpowiedzi. Słyszy się na przykład teraz, że będzie reorganizacja I i II ligi. W I lidze zamiast 16 drużyn będzie 14, a w drugiej lidze zamiast dwu grup będzie jedna, również z mniejszą ilością zespołów. Nie jest to nic nowego. Już mieliśmy w takiej formie I i II ligę i też nic to nie zmieniło. Nie w reorganizacji bowiem szukać trzeba lekarstwa dla chorej piłki nożnej.

Mówi się na przykład, że naszą piłkę nożną uzdrowiłoby wprowadzenie zawodowstwa. Brzmi to zachęcająco. Zlikwiduje się fikcję. Zawodnicy będą jawnie otrzymywali pieniądzee za grę w piłkę nożną, a nie jak teraz z utrzymaniem pozorów że dostają za co innego. I można będzie od nich więcej wymagać, tak jak wymaga się od pracowników. To wszystko prawda, ale przeciwnicy takiego rozwiązania też mają rację. Mówią oni wprawdzie zupełnie o czym innym, szukając argumentów w sferze ideowej raczej, niż zdradzając się ze swoimi obawami. A obawy te proste są bardzo. Gdyby wprowadzić u nas zawodowe drużyny piłkarskie, to nagle okazałoby się, że zupełnie nie ma kto w nich grać. I dopiero wtedy wyszłoby szydło z worka, cała prawda o polskiej piłce nożnej wypłynęłaby na wierzch.

Nasza piłka nożna przypomina piramidę. Szeroką podstawę tworzą kluby najniższych klas. W samej tylko lidze międzywojewódzkiej jest 116 klubów. Drużyny tych klubów powinny stanowić naturalną bazę kadrową dla II i I ligi. Jest ich więcej łatwiej tam o wyłowienie talentów, które powinny wspinać się po ligowej drabinie. Nie zwalnia to klubów I i II ligi od wychowywania młodzieży. Ale to jest tylko idea. Rzeczywistość jest inna. Kluby ligi międzywojewódzkiej stały się schronieniem dla piłkarzy bez ambicji, niedouczonych, bez formy, którym wygodnie jest udawać, że coś jeszcze osiągną, choć w to już nikt razem z nimi nie wierzy. Grają tam „młodzieńcy" w wieku trzydziestu lat. Tej prawdziwej młodzieży jest mało, a bez stałego dopływu nowych sił do drużyn piłkarskich daleko nie ujedziemy.

Zapowiedziana reorganizacja ligi niewiele zmieni w piłce nożnej. To nie jest chyba to lekarstwo, na które wszyscy czekamy i o którym myślimy. A jakie ono powinno być? Co zaaplikować polskiej piłce nożnej, aby nabrała sił? Może mimo wszystko w likwidacji wszelkiej fikcji szukać trzeba ratunku, bo że coś trzeba zrobić, to o tym wiedzą wszyscy. Ale to mało.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony: 652-44 sekretariat i red naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1468. A-2.

Załącznik nr. 31(-)79

HASŁO NUMERU: PZU ubezpiecza mienie (ale nie sumienie)

DECYZJA

Atmosfera była gęsta, nerwowa, jak zawsze, kiedy podejmuje się ważne decyzje. Dzień, jeden z tego lata, duszny, skwarny. Zbierało się na burzę, lecz szanse na zbiory były niewielkie. Burze chodziły tu i tam, ale zawsze bokiem i nawet najstarsi byli Docenci nie mogli sobie przypomnieć kropli deszczu, która im ostatnio spadła na łysinę, aby, spływając po bruzdach inteligentnych oblicz, wśliznąć się na pierś, powodując uczucie miłego łaskotania. W ciasnym pomieszczeniu byłoby duszno nie do wytrzymania, gdyby nie powiew wielkiego świata, wywołujący przyjemny, kojący przeciąg.

W przeciągu siedział Magister i, jako najmłodszy, protokółował. Szły już wnioski końcowe.

— Ta inwestycja daje nam ogromną szansę — perorował właśnie Doktor Ekonomii (Habilitowany). — Jeśli cenę pomnożymy przez Bi, to po odjęciu kosztów reprezentacyjnych (à propos — ostatnio coraz więcej biorą), kosztów materiałowych i robocizny, zysk wyniesie ca 430 procent. Mogą być drobne odchylenia w tę lub w tę stronę, koniunktura nieco się waha, ale sami państwo widzą, że gra jest warta świeczki.

— Jednakże — przerwał mu Główny Technolog (były Docent na Wydziale Praw) — przedyskutować chciałbym z Panami sprawę surowca i kosztów materiałowych w ogóle. Moim zdaniem, popełniamy błąd angażując środki w półfabrykaty. Należałoby zdecydować się na zakup w handlu uspołecznionym gotowych wyrobów i dokonywać przemarkowania. Tak robią nasi sąsiedzi i dobrze na tym wychodzą. Tam Profesor ma już dwa Mercedesy, a u nas co? Szanowny Pan Prezes, nikomu nie uwłaczając, dysponuje zaledwie skromnym Polonezem, o mnie już nie mówiąc, bo co to teraz Volkswagen...

Widać było, że ostatnia uwaga dopiekła Prezesowi (Profesor Doktor Habilitowany Benzynownictwa), bo siedział przez chwilę niemo, dokładnie żując ostatnie wystąpienie. Tylko fale myśli bruździły mu twarz, wywołując przemieszczenia tkanki tłuszczowej. Decyzja wisiała w powietrzu jak burza, tyle że bliżej.

— Ttak — wypluł wreszcie z siebie pierwsze słowo. — Tak. Ostatnie „tak" zabrzmiało dźwięcznie, soczyście, mimo że język miał spalony kilkoma paczkami „Rothmansów". — Skoro już doszliśmy do tego, muszę stwierdzić, że także myślałem o takim pociągnięciu. Wzrosną tylko koszta reprezentacyjne, ale niewspółmiernie mniej niż zysk. Trzeba wreszcie na to pójść. Też mam już dosyć Poloneza, aż wstyd się pokazywać na mieście, a poza tym dosyć mam już oklepanych wycieczek na Hawaje. Trzeba by wreszcie naprawdę zacząć żyć na jakiejś stopie.

Przeciąg stał się większy, Magister stężał nad protokółem.

— W pełni się zgadzam z kolegą Głównym Technologiem — kontynuuje Prezes. — Poszedłem dalej. Mam już egzemplarz okazowy, z którym możemy wystąpić choćby dziś. Zgoda? Zysk... — zawiesił głos, aby zwiększyć wrażenie. — Zysk... — smakował jeszcze efekt jaki za chwilę wywoła. — Równo 900 procent!

Prezes majestatycznie wstał z fotela, przeszedł w szpalerze udziałowców, nonszalancko odsunął blokadę i za chwilę w oknie „Boutique'u" pojawiły się przemarkowane jeansy. Tuż obok przemarkowanej marki tkwiła dyskretnie wkomponowana karteczka z ceną — 7.200 zł.

Rozległy się dyskretne brawa.

— Nie protokołujemy — dorzucił Prezes i tak naprawdę dopiero wtedy wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że przewaliła się nad nimi wielka decyzja.

KATORŻNIK

Rys. Jan Zieliński

OSTRZEŻENIE

Członkowie Związku Literatów Polskich, którzy będą mieli czelność wydawać w najbliższym czasie książki, muszą o wiele staranniej niż do tej pory dobierać tytuły. Bowiem pracownicy Składnicy Księgarskiej oraz Domu Książki chcą się wykazać i biorą je dosłownie. Doświadczył tego osobiście jeden z nestorów łódzkiej prozy, Władysław Rymkiewicz, który pochopnie dał swojej powieści tytuł „Długie czekanie". Książka wydrukowana została w marcu przez Łódzką Drukarnię Dziełową, aliści do tej pory nie trafiła do księgarń zobligowanych widocznie tytułem.

Podobne doświadczenia ma Henryk Czarnecki, scenarzysta serialu „Daleko od szosy" i autor powieści pod tym samym tytułem, wydrukowanej w Łódzkich Zakładach Graficznych także w marcu br. Pechowy tytuł sprawił (Łódź jak wiadomo ominęła sieć autostrad), że i ta pozycja nie trafiła do tej pory do łódzkich księgarń. Aby było zabawniej, to właśnie w Łodzi zlokalizowane są centralne magazyny Składnicy Księgarskiej.

„Załącznik" ostrzega więc wszystkich piszących, że tytuły zobowiązują. Dla ułatwienia podajemy listę, bezpiecznych tytułów, naszym zdaniem, do bezpłatnego wykorzystania. W każdym razie nie powinny one przeszkodzić wędrówce książki na księgarskie półki: „Romans księgarza", „Bohaterska składnica", „Dzień dobry, panie dyrektorze", „Ja panu pokażę" itd. (Własna pomysłowość mile widziana).

J. DARNAL

Rys. Jan Zieliński

Z życia sfer

TO CI HISTORIA

Co najmniej 9 razy o Louisie Barthou (francuskim ministrze spraw zagranicznych, zamordowanym w Marsylii w roku 1934 wraz z królem Jugosławii Aleksandrem I Karadżiordżiewiczem) pisze Tadeusz Wasilewski w „Kulturze" per Barthu.

Upewniło nas to w przekonaniu, że zabito całkiem kogoś innego.

POPIERAJĄ SIĘ

Były szach Iranu, Mohammad Reza Pahlawi z Wysp Bahama udał się na dalszy pobyt na wygnanie do Meksyku. W Meksyku zamieszkał w luksusowym pałacu prezesa Banco de Comerci, ale ma się zamiar przenieść do willi swej siostry do Acapulco. Pobyt w Meksyku byłemu szachowi Iranu załatwił były amerykański sekretarz stanu, Henry Kissinger.

NIE WYSTĄPI W OPOLU

Syn Anny German — Zbyszek ma już 3,5 roku. Anna German wraca do śpiewania. W Opolu jednak nie wystąpi — jak oświadczyła Ewie Sclińskiej — bo nie odpowiada jej unowocześniona wersja „Tańczących Eurydyk", jaką zaproponowano, aby zaśpiewała. Poza tym Anna German powiedziała, że nie lubi „specyficznej atmosfery towarzyszącej wykonawcom na festiwalu". I dlatego zostaje w domu.

NIE MA WPŁYWU

Adam Hanuszkiewicz wyznał Ewie Zyskowskiej, że opinie krytyków teatralnych wpływają „czasem na system nerwowy, na twórczość bardzo mało". Nie przejmuje się też tym, że zarzuca się mu przeinaczanie oryginałów, opaczne odczytywanie klasyki. „Zarzucano to wszystkim moim poprzednikom, Schillerowi to zarzucano, Wyspiańskiemu...", gdyż autorem przedstawienia teatralnego jest „zawsze inscenizator..., nawet jeżeli inscenizator jest bardzo złym inscenizatorem". Dla autora tekstu Adam Hanuszkiewicz nie ma żadnej litości, tym bardziej, im bardziej martwy jest ten autor.

INNI TEŻ

— „Nigdy nie miałam pełnej szansy wykorzystania moich możliwości..." — powiedziała Lidia Korsakówna w wywiadzie dla „Expressu Wieczornego". W opinii tej nie jest Lidia Korsakówna osamotniona. Inni myślą podobnie o swoich szansach. A iluż tych innych jest? Wcale spora gromada.

NIEPOPRAWNI

W „Tygodniku Piotrkowskim" znaleźliśmy taki oto tytuł:

POSTULUJEMY

LASY JAK POBOJOWISKA

A tyle mówi się i pisze o potrzebie szanowania przyrody, oszczędzaniu lasów, o ochronie środowiska. A oni nic. Militaryści. Wszystko zamienić w pobojowisko. A fe!

WIADOMOŚCI Z DALEKA I BLISKA

W Księżej Wólce

żył sobie strażak, który sam wzniecał pożary, a później brał udział w ich gaszeniu. Dzielny strażak Wiesław G. podpalił sześć stodół. Odpowie za to przed sądem w Łodzi.

W Zielonej Górze

wybudowano centralę telefoniczną na 5 tysięcy numerów, do której ze względu na chroniczny brak kabli będzie się podłączało rocznie tysiąc nowych numerów telefonicznych. W tak prosty sposób pobity został światowy rekord oddawania do użytku centrali telefonicznej.

W Łodzi

na Olechowie jest ulica Transmisyjna, przy której nie stoi ani jeden dom. Ulica zaczyna się na łące i biegnie przez las. Głównie służy do wysypywania śmieci. Na ulicy tej przemyślni drogowcy wysypali dwie kupy asfaltu, asfaltując w ten sposób dokładnie kilka drzew. Dowiedli oni swoim postępkiem, że to nie życie naśladuje sztukę, a sztuka życie. W serialu „Ślad na ziemi" betoniarze las cementowali, w Łodzi — drogowcy asfaltują.

W Warszawie

zdarzyło się już kilkadziesiąt eksplozji litrowych butelek z wodą stołową „Mazowszanka". Wybuchają też butelki z wodą „Grodziska". I to już od dwóch lat. Są ranni. Dyrektor Huty Szkła w Ujściu, która wytwarza butelki litrowe do wód stołowych, utrzymuje, że jego huta produkuje butelki zgodnie z obowiązującą normą. Dyrektor wytwórni produkującej „Mazowszankę" uważa, że szkło jest do luftu. Spór trwa. Pewnie też z tego powodu nie można dostać ani „Mazowszanki", ani „Grodziskiej" w sklepach Łodzi. Handel chroni nas skutecznie przed nieszczęściem.

W Warszawie

w kwiaciarniach można kupić: Murzynki, posążki Buddy, breloczki, żołnierzyki z plastyku, kalendarze, łańcuszki, wazony, maskotki, wody kwiatowe i wiele innych pamiątek łącznie ze sztucznymi kwiatami. Kwiatów żywych (najczęściej brakuje. Ale czy tylko w kwiaciarniach w Warszawie?

W Tampere

i innych miastach Finlandii bawili piłkarze ŁKS. Poza licznymi pamiątkami dla rodziny oraz wspomnieniami nie przywieźli nic godnego uwagi, gdyż mecze towarzyskie grali z bardzo słabymi przeciwnikami. Ale wycieczka się udała.

WE WŁASNYM GRONIE

„Przegląd Techniczny — Innowacje" donosi w radosnym tonie, że „ZAST" już w użytkowaniu. Co to jest „ZAST"? Jest to Zintegrowany Automatyczny System Telekonferencyjny. Kto go użytkuje? Czyżby już w każdej większej instytucji, w każdym zjednoczeniu, w każdym biurze, w każdej fabryce, z których trudno nieraz dodzwonić się do kooperanta na sąsiednią ulicę, zainstalowano i używano takie cudo jak „ZAST"? Ależ skąd! Ależ gdzie tam! Nic z takich rzeczy!

„Podczas spotkania ministra łączności — donosi z radością „Przegląd Techniczny — Innowacje" — prof. dr Edwarda Kowalczyka i prezesa ZZG SEP — mgr inż. Tadeusza Dryzka z dziennikarzami z okazji obchodów Międzynarodowego Dnia Telekomunikacji w Warszawie, mgr inż. Mieczysław Kula — dyrektor Głównego Urzędu Telekomunikacji Międzymiastowej złożył ministrowi meldunek o przekazaniu do użytkowania urządzenie „ZAST"..."

— Gratulacje! — chciałoby się już wykrzyknąć. Wykorzystali święto, aby pochwalić się swoim sukcesem, o którym minister mógłby nigdy się nie dowiedzieć, bo czyż on ma czas zajmować się każdą nową instalacją? Ale z dalszej lektury informacji „PT — I" dowiadujemy się, że

„Pierwszy moduł tego systemu... połączył gabinet kierownika resortu z dyrektorami okręgów Poczt i Telekomunikacji..."

A to ci heca! Czyżby minister do tej pory nie wiedział, co instalują w jego gabinecie? A może była to niespodzianka? Inni też mają takie fajne urządzenia?

Otóż nie!

„Wprowadzony więc został po raz pierwszy w naszym kraju nowy środek łączności... Prace nad dalszą rozbudową systemu „ZAST" są kontynuowane, aby można było go zastosować w innych resortach i urzędach..."

I tak sprawa się rypła. Wszystko zostało we własnym gronie. A nam się już zdawało...

A. B. ONENT

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

FRASZKI

SPEŁNIENIE

Dostał ochoty na wdówkę
I poznali się.
I pobrali się.
I jedzą pomidorówkę.

POCAŁUNEK SKRACA ŻYCIE

Skróć mi życie,
Należycie!

PECH

Śliczna i bosa —
Przeszła mi koło nosa.

ROLA

Znana jest męża zazdrosnego rola:
Mąż biegnie do szafy,
A ten w szafie pyta: „Nie widział pan mola?"

PO LATACH OTRZYMALI MIESZKANIE

Rzekła do niego: „Przenieś mnie przez próg",
A on spółdzielczy biedaczek nie mógł.

WYZNANIE

Łasy
Na dziewczęce
Jestem masy!

MYŚL ŻONATEGO

Czy nie przednia jest myśl taka,
Mieć dziewczynę zaskórniaka!

ODPOWIEDŹ

Tak długo pytał,
Aż odrzekła mu: „Niewypał!"

TYTUŁ TYGODNIA

Prześwietlanie — jajek niemodne?

(„Dziennik Popularny", 20 VI 1979)

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 10

Zapinki, karnisze i bezpyłowe cyklinowanie związały Torpedę na dłużej z prezesem, do którego mówi się już panie szefie, a nawet panie Zenku. Tyle, że za dużo tego schylania, a tu do sąsiada szwagier przyjechał w spodniach w pepitkę, w słomkowym kapeluszu. Od razu widać, że nie z demokracji.

Sąsiad przywiózł kiedyś z Bułgarii trzy metry astrachanu i uważał się za spryciarza. Może by powiedział coś jeszcze o Sozopolu, ale co zaczął — to mu byle, kto rzucał na głowę Istanbuły, Wenecje i Paryże. Siadał więc na ławce przy piaskownicy, pełnej tłustych torebek z tomofanu i spiralnych nakrętek od butelek, siadał i czytał u kogo zgaśnie światło i kto zgubił legitymację. Aż wreszcie Torpeda się zdecydował.

— Pogoda, co? — zaczął inteligentnie, przysiadając na zardzewiałym gwoździu, wystającym z ławki. Głęboko w kubańskiej brodzie tkwiła połówka papierosa. — U nich też pogoda?

— Jak się zacznie, to jest. Pan też na chorobie?

— Ja to różnie, wie pan. Wczoraj my parkiet przekładali, to dziś wolna sobota.

— We środę?

— U nas różnie. Pan sąsiad korzonki pewnie, co? Znałem takiego. Już nie chodzi. Też urzędnik jak pan. Co się dorobił? Nic się nie dorobił. U nich to inaczej. Siudzbdziński jestem, ale jak zaczęli mówić Torpeda, to i zostało. Dla zagranicznych byłoby prościej, nie?

— Puciek. Starszy referent bankowości.

— W bankach to się forsy przelewa, co?

— Ale co do skoku, to się nie opłaci. Urządzenia mamy takie, że tu stąpniesz, a tam dzwoni. Albo zatrzasną ci się drzwi i nie ma silnych, panie. Raz żeśmy bez kolacji do jutra siedzieli, jak się zatrzasnęły. Dobrze, że miałem Świerszczyka; noszę, bo w domu jeszcze by żona znalazła i chciałaby wypraktykować, nie?

Kiedy człowiek jest dowcipny, warto się ku niemu nawet po zardzewiałym gwoździu przysunąć.

— To pan liczysz te pieniądze i tylko paczkę kantem o biurko ostukujesz, żeby wyrównać, co? Nigdy nic dla siebie? Mnie by tam paluchy uschły, jakbym nie wziął! — tak sobie zażartował, strzygąc uszami.

— Nie opłaci się. Tam u nich to co innego, szwagier mi napowiadał — postęp, panie, naukowo i na pewniaka.

— Najpierw się robi gang, nie?

Jakby się dwie klamerki do siebie zbliżały, żeby się zapiąć. Trzeba dociągnąć. Tak się żonie stanik dociąga, parę razy wymknie się z palców, ale wreszcie zapniesz. To przecież ona z nerw tak utyła, nie żadna pani w „Przyjaciółce". Jak dzisiaj czegoś nie przykręcę, to znów będzie gryzła sernik i...

Dalszy ciąg nastąpi.

MAGAZYN KULTURALNY